

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
SŁUŻBY SPOŁECZNEJ W STOLICY

Numer specjalny wydany z okazji

I Ogólnopolskiego Kongresu Dziecka.

Nr 9-(24) **IX.1938**

OPIEKUN SPOŁECZNY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM SŁUŻBY SPOŁECZNEJ W STOLICY

Nr 9—(24) WRZESIEŃ 1938 ROK III

O Konstytucję Polskiego Dziecka.

W roku bieżącym minęło 15 lat od chwili, gdy zebrana w Genewie Rada Generalna Międzynarodowego Związku Pomocy Dzieciom uchwaliła t. zw. „Deklarację Genewską".

Ustala ona podstawowe prawa dziecka i nakłada na wszystkich ludzi bez względu na ich rasę, narodowość i wyznanie obowiązek przestrzegania i realizowania tych praw.

Jest tedy Deklaracja Genewska konstytucją dziecka.

Pod deklaracją tą figuruje podpis delegata Polski. W ten sposób Polska uznała słuszność tej deklaracji i zsolidaryzowała się z jej autorami. Deklaracja Genewska obowiązuje zatem i w Polsce.

Czy jednak wyczerpuje ona wszystkie najważniejsze prawa polskiego dziecka?

Przyjęło się zwyczajowo, że w konstytucjach nie podaje się szeregu najważniejszych praw, które są tak oczywiste, że autorzy konstytucji uważają za zbędne w ogóle o nich wspominać. Tak więc np. nie znajdujemy w obowiązujących obecnie konstytucjach postanowień o prawie człowieka do wolności.

W Deklaracji Genewskiej również opuszczono najbardziej podstawowe prawa dziecka. Są one bowiem na zachodzie zbyt oczywiste. Czy jednak równie oczywiste są one u nas? Odpowiedź na to pytanie nie może być niestety pozytywna.

Deklaracja nie wymienia na przykład prawa dziecka do życia. Prawo to — oczywiste w innych państwach — nie jest takim u nas na tyle, by mogło być w Konstytucji Dziecka niewymienione. Dzieci umiera w Polsce bardzo wiele. Jesteśmy na jednym z pierwszych miejsc w tablicy umieralności niemowląt.

ZGONY NIEMOWLĄT
w Polsce i w innych państwach
w 1936 r.
(na 1000 urodzeń żywych)
w/g danych Gł. Urzędu Statyst.

Rumunia	175
Bułgaria	143
Polska	**141**
Węgry	140
Litwa	128
Czechosłowacja	124
Hiszpania *)	109
Japonia *)	107
Włochy *)	101
Szkocja	82
Łotwa	80
Belgia *)	77
Irlandia	74
Dania *)	71
Francja	67
Niemcy	66
Kanada	66
Anglia	59
Stany Zjedn. *)	56
Szwajcaria *)	48
Szwecja *)	47
Australia	41
Norwegia *)	41
Holandia	39

*) dane z 1935 r.

Nie możemy oczywiście nie widzieć, że w okresie ostatnich lat współczynnik śmiertelności niemowląt znacznie się zmniejszył. Nie możemy również nie stwierdzić, że śmiertelność w Warszawie jest mniejsza, niż w wielu innych miejscowościach Polski.

ZGONY NIEMOWLĄT w POLSCE i w WARSZAWIE
na 1000 urodzeń było zgonów niemowląt:

	924	925	926	927	928	929	930	931	932	933	934	935	936	937
Polska				151 x/	145	149	142	142	144	125	141	127	141	136
Warszawa	150	159	140	143	129	130	124	116	139	108	99	108	113	101 xx/

*) z okresu do 1927 r. — brak danych
**) obliczenia prowizoryczne.

W dużej mierze spadek śmiertelności zawdzięczać należy podnoszeniu się ogólnego poziomu kultury, lecz przede wszystkim akcji Ośrodków Zdrowia i Opieki, propagandzie higieny itd. Akcja ta jest szczególnie ożywiona na terenie stolicy. Czytelnicy „Opiekuna“ mieli możność zapoznać się z nią z licznych i wyczerpujących sprawozdań zamieszczanych na łamach naszego pisma. Działalność poradni dla ciężarnych, poradni niemowlęcych, kuchni mlecznych, propaganda umiejętności pielęgnowania niemowląt, konkursy dla matek, akcja szkolenia przyszłych matek, przygotowywanie fachowych piastunek itd. — wszystkie te wysiłki ocaliły niejedno życie dziecka.





Szczególnie pomyślnymi rezultatami uwieńczona została walka o życie dziecka podjęta przez Dom Ks. Boduena. Było to możliwe dzięki przeprowadzonej w ostatnich latach reorganizacji tej instytucji i pełnej poświęcenia pracy zatrudnionego w niej personelu.



Śmiertelność dzieci w Domu ks. Boduena.

Mimo że, jak to stwierdziliśmy, śmiertelność niemowląt zmniejsza się, trudno uznać, że prawo dziecka do życia zyskało już w pełni moc obowiązującą. Przeciwnie, potrzeby tego prawa nie odczuwa bardzo jeszcze wielki odłam naszego społeczeństwa.

I dlatego postanowienie o prawie do życia musi się znaleść w Konstytucji Polskiego Dziecka.

Deklaracja Genewska nie mówi o prawie dziecka do rodziny. Prawo do rodziny jest w innych państwach bardziej niż w naszym kraju oczywiste. Różnica ta jest szczególnie rażąca, jeśli wziąć za podstawę porównań ustawodawstwo obowiązujące dotychczas w b. Kongresówce. Wszak pozostaje nadal w mocy przepis, który wyraźnie przekreśla prawo wielu dzieci do ojca. „Poszukiwanie ojcostwa jest zabronione" głosi od 113 lat po dzień dzisiejszy art. 305 Kodeksu Cywilnego Królestwa Polskiego. Praktyka sądów dziś jeszcze umożliwia ojcu wyrzeczenie się dziecka, skoro pozwala zasłaniać się przed sądem zarzutem, że matka w okresie poczęcia dziecka obcowała z kilkoma mężczyznami (t. zw. „exceptio plurium concubentium").

Przekreślone jest prawo dziecka opuszczonego do szczęścia, jakie zapewnić mu chce i może rodzina przybrana. Do

dziś dnia nie wolno w Warszawie i na pozostałym terenie b. Kongresówki adoptować dziecka. Pod tym względem jesteśmy osobliwością Europy. Zbyt mało jeszcze obywateli odczuwa krzywdę dziecka opuszczonego, a ci nawet, którzy ją odczuwają, zbyt mało na nią reagują.

Służba opiekuńcza stolicy podjęła walkę o pełnię praw dziecka opuszczonego. Domaga się uchylenia zakazu poszukiwania ojcostwa, domaga się zezwolenia na adoptowanie dzieci. Podjęła walkę tę na terenie Sejmu posłanka W. Pełczyńska. Podjęła ją również prasa stołeczna.

Dopóki walka ta nie będzie wygrana, dopóki prawo dziecka do rodziny nie będzie dla wszystkich obywateli prawem jednym z najbardziej oczywistych — nie może być ono przemilczane w Konstytucji Polskiego Dziecka.

A inne prawa pominięte w Deklaracji Genewskiej — które w Konstytucji Polskiego Dziecka pominięte być nie mogą?

*

Zbiera się w Warszawie dnia 2 października r. b. „Pierwszy Ogólnopolski Kongres Dziecka". Zbiera się późno, bo dopiero pod koniec 20-go roku naszego niepodległego bytu.

Tym większe jest tego Kongresu znaczenie — tym większa odpowiedzialność ciąży na jego organizatorach i uczestnikach za należyte ujęcie i postawienie sprawy dziecka. Kongres ma obradować nad obecną i przyszłą dolą dziecka. Rzecz oczywista, że na czoło wszystkich zagadnień związanych z losem dziecka w Polsce — wysuwa się sprawa ustalenia jego praw — sprawa Konstytucji Polskiego Dziecka. I nie tylko ustalenia. Wskazania dróg i metod wprowadzenia tej Konstytucji w życie. Wszczepienia poczucia jej wagi w sercach wszystkich obywateli.

Dopóki nie będzie uchwalona Konstytucja Polskiego Dziecka — pozostaje w Polsce w mocy — Deklaracja Genewska.

Ją też staramy się rozpatrzeć w niniejszym numerze, myśląc przede wszystkim o dziecku Warszawy — jemu bowiem służymy.

Rozważania te kończymy garścią informacyj statystycznych o dzieciach stolicy.

Jan Starczewski.

DEKLARACJA GENEWSKA

UCHWALONA PRZEZ RADĘ GENERALNĄ MIĘDZYNARODOWEGO ZWIĄZKU POMOCY DZIECIOM W DN. 23 LUTEGO 1923 R.

NINIEJSZĄ DEKLARACJĄ, NAZWANĄ „DEKLARACJĄ GENEWSKĄ", MĘŻCZYŹNI I KOBIETY WSZYSTKICH NARODOWOŚCI UZNAJĄ, ŻE LUDZKOŚĆ WINNA DAĆ DZIECKU WSZYSTKO, CO POSIADA NAJLEPSZEGO I STWIERDZAJĄ, ŻE CIĄŻĄ NA NICH, BEZ WZGLĘDU NA RASĘ, NARODOWOŚĆ I WYZNANIE, NASTĘPUJĄCE OBOWIĄZKI:

1. DZIECKU POWINNO SIĘ DAĆ MOŻNOŚĆ NORMALNEGO ROZWOJU FIZYCZNEGO I DUCHOWEGO.

2. DZIECKO GŁODNE WINNO BYĆ NAKARMIONE; DZIECKO CHORE — PIELĘGNOWANE; DZIECKO WYKOLEJONE — ZWRÓCONE NA WŁAŚCIWĄ DROGĘ; SIEROTA I DZIECKO OPUSZCZONE — WZIĘTE W OPIEKĘ I WSPOMAGANE.

3. DZIECKO POWINNO PRZED INNYMI OTRZYMAĆ POMOC W CZASIE KLĘSKI.

4. DZIECKO POWINNO BYĆ PRZYGOTOWANE DO ZAROBKOWANIA NA ŻYCIE I ZABEZPIECZONE PRZED WSZELKIM WYZYSKIEM.

5. DZIECKO WINNO BYĆ WYCHOWYWANE W WIERZE, ŻE JEGO NAJLEPSZE CECHY POWINNY BYĆ ODDANE NA USŁUGI WSPÓŁBRACI.

...dziecku powinno się dać możność normalnego rozwoju duchowego...

Urok dziecka, to ogromna siła, która przyciąga serca ludzi i wszystkich stworzeń, potrafi budzić najpiękniejsze uczucia i ofiary, roztacza radość i miłość, wskazuje niejednemu cel życia.

Wiemy wszyscy, że ową siłę dziecka, ów urok, stanowi jego bezbronność, zdająca się z ufnością na opiekę otoczenia, cudowna prostota i świeżość konstrukcji duchowej i fizycznej.

Człowiek rośnie, dojrzewa fizycznie i duchowo, dochodzi do pełni rozwoju i — urok jego gaśnie. Nie jest juz bezbronny, stał się kimś silnym, samodzielnym. Stracił prostotę, — ludzie i życie skomplikowane urobiło go w indywidualność dodatnią lub ujemną. Proste, jasne dzieciństwo zostało tylko wspomnieniem.

I sięga się znowu po świeże siły do źródła jej, do dzieciństwa innych, do troski o nie, o zachowanie piękna w człowieku jak najdłużej. Piękna ciała i duszy, siły i zdrowia.

A dziecko bezbronne, choć pełne sił potencjonalnych, zdane jest na stosunek do niego dorosłych. Raz jest ono zabawką upragnioną w życiu, — raz złem koniecznym, które cierpieć trzeba. Raz przedmiotem przetroskliwienia i wylewu nadmiaru uczuć nagromadzonych, — raz ofiarą humoru, awantur pijackich, lub wyzysku do zdobywania pieniędzy, — raz wreszcie obiektem, przy którym pełni się tylko obowiązek wychowawczy. Paczy się fizyczne zdrowie dziecka i prostota jego duszy. Tak mało dzieci cieszy się jasnym dzieciństwem, normalnymi warunkami rozwoju.

Ciężkie lata wielkiej wojny, a potem kryzysu gospodarczego odbiły się fatalnie na rozwoju młodych pokoleń. Siły fizyczne młodych roczników są bardzo słabe. Uderza się na alarm, mobilizuje się wszędzie akcję higieniczną, pomoc lekarską, wprowadza wychowanie fizyczne, organizuje wczasy dla dzieci i młodzieży, spieszy się z ratunkiem najmłodszym obywatelom przez uświadamianie starszych, jak dbać o ich rozwój fizyczny.

Czy w równej mierze docenia się dzisiaj wagę rozwoju duchowego dziecka? Mówi się wiele i robi się wiele w dziedzinie rozwoju intelektualnego. I znów uderza się na alarm

z powodu niedostatecznej liczby przedszkoli i szkół, z powodu kilkuset tysięcy, prawie miliona, dzieci pozostających w Polsce bez nauki. Wysiłek ostatnich lat w zakresie szerzenia oświaty jest wielki, skarb państwa, samorządy i społeczeństwo łożą sumy na budowę nowych placówek szkolnych, na kształcenie zastępów sił nauczycielskich, organizowanie świetlic, ułatwiających naukę dzieciom. Na terenie stolicy powstało od 1935 roku 26 nowych szkół. Jest ich obecnie 188 na 141 262 dzieci stolicy w wieku od 7 do 14 lat. Świetlic dla dzieci szkolnych 182 przy 10 511 uczęszczających.

Postęp w dziedzinie oświaty jest wielki, choć jeszcze wciąż niedostateczny na miarę potrzeb naszego kraju.

Od tej strony rozwoju duchowego dzieci należy spodziewać się w Polsce dodatnich wyników. Ale nie wyczerpuje to zagadnienia. Rozum, intelekt wszechstronnie rozwinięty daje zdolność przyswajania wiedzy, zdolność aktów twórczych, spekulacji życiowej. Działanie rozumu dopełniać jednak musi uczucie równie rozwinięte, aby każdy czyn, każda praca osiągnęły swą istotną wartość. I tu jest ta druga strona rozwoju duchowego, o której już mniej się mówi, mniej się ją docenia.

W duchowym życiu małego dziecka dominującą rolę gra impuls i uczucie. Kierowanie ich już od pierwszego dzieciństwa ku wartościom dodatnim posiada ogromne znaczenie w późniejszych latach jego życia.

Uczuciowość dziecka tak łatwo reagująca na wzajemne uczucie może rozwijać się tylko w odpowiedniej dla siebie atmosferze.

Prawem odwiecznym, przyrodzonym, najwłaściwsze i jedyne środowisko, w którym normalnie dziecko rośnie, stanowi rodzina. Matka i ojciec najbliżej związani są z dzieckiem, serca ich pierwsze doń przemawiają, uczucie ku nim budzi się najwcześniej. Wpływ na ich dziecko jest dominujący i dlatego pełna, normalna komórka rodzinna tak bezspornie wielką odgrywa rolę w społeczeństwie ludzkim.

Swoistej atmosfery domu rodzinnego nie zastąpi dziecku najlepiej postawiony zakład. Obserwacja rozwoju uczuciowego dziecka zbyt utrudniona jest w życiu gromadnym, nastepuje on zbyt powolnie, albo wybuja często w zupełnie niewłaściwym kierunku. Przegrały sowieckie próby wychowania państwowego. Po przeprowadzonych doświadczeniach wraca prze-

konanie, że w pierwszym rzędzie rodzina powołana jest do wychowania człowieka, członka zbiorowości społecznej.

Jeśli chcemy w myśl Deklaracji Genewskiej dać dziecku możność normalnego rozwoju duchowego, to walczyć dlań musimy o rodzinę, rodzinę zdrową fizycznie i zdrową moralnie, która da mu zdrowe środowisko, pełne spokoju i radości.

Uczucie życzliwości musi każdemu dziecku wyjść naprzeciw, gdziekolwiek się ono znajdzie. Atmosferę przychylną dla siebie musi dziecko spotkać wszędzie, czy w szkole, czy na ulicy, w tramwaju, czy w obcym domu. To mu jest potrzebne, jak słońce roślinie. Zainteresowanie dzieckiem, wszystko jedno, własnym czy obcym, miłym czy brzydkim, grzecznym czy krzykliwym, spotkanym świadomie czy przypadkiem, przyjazne dla niego uczucia musimy wyrobić w polskim społeczeństwie, bo niestety, jakże często traktowane jest ono jak coś uprzykrzonego, coś co przeszkadza nam „pod nogami", coś od czego lepiej być z daleka, chyba, że chwilowo sprawia nam przyjemność lub zabawę.

Nie zdajemy sobie sprawy, że w wychowaniu dziecka wszyscy bierzemy udział przy każdym zetknięciu się z nim. Chwytliwość umysłu, subtelna uczuciowość dziecka, reaguje momentalnie na każdy przejaw życia, zostawia odrazu ślad jego i w ten sposób urabia się jego stosunek do ludzi i świata. Źle traktowane reaguje ujemnie, wyrabia w sobie podświadomie uczucia nieprzychylne, pozostają urazy psychiczne, wpływające w przyszłości na charakter dorosłego człowieka.

Popełniałoby się jednak ciężki błąd, gdyby ten życzliwy, pełen miłości stosunek do każdego dziecka nie oparło się na rozumnych, pedagogicznych podstawach.

Dziecko winno odczuwać miłość w okół siebie, ale wiedzieć musi zarazem, że zainteresowanie się nim istnieje dlatego, aby mu pomóc do rozwoju jego wartości fizycznych i duchowych, które ono zużytkować ma dla siebie i drugich. Trzeba mu dać wiele, ale i wymagać wiele.

Wprowadzanie dziecka w dziedzinę poznania celu swego istnienia może i powinno mieć miejsce już w najwcześniejszych fazach rozwoju jego umysłu i uczuć. Następować ono musi jednak ewolucyjnie, stosownie do rozwoju zdolności pojmowania i indywidualnie, w zależności od stopnia inteligencji dziecka. To, że istnieje ono nie tylko dla siebie, aby czerpać

ze świata wartości na własny użytek, ale również dla drugich, z którymi się dzielić musi tymi wartościami, można uświadamiać dziecku bardzo przystępnie przez podsuwanie mu sposobności do realizowania swych wartości duchowych w życiu codziennym.

Z punktu widzenia społecznego uczucie ma tę wyższość nad intelektem, że daje zdolność odczuwania innych, a co zatem idzie, stwarza podstawy współżycia społecznego.

Przecenianie w ostatnich czasach indywidualizacji w wychowaniu dało w wyniku wybujały egoizm i zanik instynktu społecznego. Nowoczesne tezy wychowawcze mocno podkreślają, że nie ma wychowania indywidualnego bez wychowania społecznego.

Wychowanie społeczne nie przeszkadza rozwojowi indywidualności, dąży tylko do wytworzenia harmonii, którą daje dobrowolne uznanie przez jednostki innych indywidualności koło siebie.

Dlatego wraca się do komórki rodzinnej, jako jedynego środowiska, w którym roztaczając indywidualną opiekę można dzięki jej ustrojowi wyrabiać poczucie ścisłego związku jednostki z gromadą.

Równolegle obok czynnika uczucia występuje w rozwoju duchowym czynnik woli. Wyobraźnia dziecka pracuje bardzo intensywnie, stwarza ona obrazy, cele, do których dziecko ustosunkowuje się uczuciowo, zaczyna ich pragnąć, dążyć do nich, kombinować nad środkami ich osiągnięcia, postanawia dopiąć celu i zdobywa się na czyn.

Czuwanie dorosłych nad procesami duchowymi dziecka jest rzeczą konieczną. Przede wszystkim kierowanie wyobraźni dziecka na rzeczy konkretne, prawdziwe, nie obciążanie jej bajkami pozbawionymi sensu moralnego jest sprawą ogromnej wagi. Umiejętne podsuwanie dziecku celów etycznych, doboru środków etycznych do ich osiągnięcia, podtrzymywanie go w postanowieniach i czynach, oto droga do właściwego kształcenia woli, nastawiania charakteru w kierunku dodatnim.

Rozwój uczuć i woli opierać się musi na konkretnych normach etycznych, opartych na prawdzie. Dziecko musi wiedzieć, że w każdym zagadnieniu etycznym jest jedna tylko droga postępowania, droga prawdy. Że nie może być rozbieżności pomiędzy ideologicznym rozwijaniem zagadnień a bezpośrednim

rozwiązywaniem ich w życiu codziennym. Nie może być kompromisów pomiędzy wygłaszaną zasadą, a stosowaniem jej w życiu. Te normy etyczne może dać jedynie wychowanie religijne. Możemy się zgodzić, że człowiek dorosły, który przeszedł głęboki proces myślowy i doświadczył życie, może samoistnie dojść do poznania prawa moralnego i przeświadczenia ,że bez mocnych norm etycznych nie ma ładu wewnętrznego i harmonii duchowej. Dziecku trzeba tych bolesnych w przyszłości prób i wstrząsów zaoszczędzić i trzeba psychikę jego już wcześnie w normach prawa moralnego formować. Dać to może tylko religia, ona tylko nałożyć może hamulce na skłonne do wybujałości nieprzemyślane popędy, przeciwstawić się zakłamaniu, które wysuwa życie codzienne.

Wyrabianie woli dziecka w kierunku samokształcenia się i celowych świadomych czynów pomaga w rozwijaniu życia duchowego, wyrabianiu poczucia swej roli w gromadzie społecznej, odpowiedzialności za spełnienie zadania jako jednostki w życiu zbiorowym.

Prawa Deklaracji Genewskiej zrealizować w zakresie rozwoju duchowego dziecka, to znaczy dać mu odpowiednie środowisko wychowawcze, stworzyć przychylną rozwojowi atmosferę, czuwać nad nim i pomóc do rozwijania dodatnich wartości intelektualnych i moralnych.

Mgr Maria Łeszeżanka

...dziecku powinno się dać możność normalnego rozwoju fizycznego...

Normalny rozwój fizyczny to nie tylko prawidłowe kształtowanie się kośćca i mięśni, nie tylko harmonijna, piękna budowa ciała: to sprawne funkcjonowanie wszystkich narządów, zdolność do pokonywania odpowiednio do wieku wszelkich wysiłków tak fizycznych, jak umysłowych, zdolność do opanowywania i zwalczania takich np. czynników szkodliwych, jak choroba, to suma tych wszystkich wartości, które dają możność całkowitego, pełnego, radosnego używania życia w najlepszym zrozumieniu.

Jak pod tym względem przedstawia się sytuacja dziecka w Polsce?

Przede wszystkim nieco liczb.

W 1935-36 roku było w Polsce 5 101 000 dzieci w wieku szkolnym; na samą Warszawę przypada w tym czasie około 150 tysięcy. Nie uczynimy wielkiego błędu, jeżeli za sprawdzian zdrowia dziecka w miastach Polski weźmiemy te dane, jakie daje nam statystyka szkół miejskich miasta Warszawy, obejmująca pokaźną grupę 140 000 dzieci. Wszak ze szkół tych korzystają te sfery ludności, które stanowią rdzeń mieszkańców naszych wielkich ośrodków miejskich.

Umieralność dziecka w Polsce jest jeszcze stosunkowo bardzo duża. Na 10 000 noworodków

dożywa wieku 15 lat	7 228
gdy np. we Francji	8 741
w Niemczech	8 923
w Anglii	8 937
w Szwecji	9 075
Niższą liczbę mamy w Z. S. R. R.	6 790

Czemu tak jest? Czemu przypisać tę większą umieralność u nas w porównaniu z zachodem Europy?

Życie dziecka najszerszych i najliczniejszych warstw społeczeństwa miejskiego upływa w warunkach, które najczęściej jak najfatalniej uderzają w jego zdrowie. Przede wszystkim zagrożone są te pierwsze lata jego bytowania w iście opłakanych warunkach mieszkaniowych.

Gęstość zaludnienia mieszkań jednoizbowych w naszych miastach wynosi 3,9 osób. A przecież na 8 524 000 mieszkań w polskich miastach te jednoizbowe stanowią prawie trzecią część (2 716 000). W Warszawie na 249 100 mieszkań mamy 106 000 jednoizbowych. 11,7% mieszkań posiada zaludnienie 4—6 osób na jedną izbę; powyżej 6 osób na izbę przypada w 4,5% mieszkań; ba, 12 i więcej osób zamieszkuje jedną izbę w 2 740 mieszkaniach (w Warszawie).

Czy są to warunki sprzyjające normalnemu fizycznemu rozwojowi dziecka? Czy będziemy dziwili się wobec tego, że np. krzywica obarcza nasze dzieci w wieku przedszkolnym w 40 przeszło procentach (na 6 011 dzieci w przedszkolach stwierdzono krzywicę u 2 436), a w wieku szkolnym w przeszło 32% (publiczne szkoły powszechne). Czy dziwić nas będzie, że wobec takiego stanu rzeczy pokrzywicze zmiany kość-

ca, a przede wszystkim poważniejsze zniekształcenia klatki piersiowej i skrzywienia kręgosłupa stwierdzamy w przedszkolach u 1,9% badanych, a w szkołach powszechnych u 2,6%.

Wprawdzie ruch budowlany w ostatnich latach w Warszawie staje się co raz bardziej intensywny, stanowczo jednak niecelowy, jeżeli chodzi o dostarczenie odpowiednich warunków mieszkaniowych najszerszym warstwom. Wysiłki miasta i Towarzystwa Osiedli Robotniczych w tym kierunku są bardzo duże, nie zaspakajają jednak ogromu potrzeb (od 1934 roku na cele rozbudowy mieszkań robotniczych w Warszawie TOR wydatkował 13 851 000 zł i wybudował 2 299 mieszkań). Wysokie komorne w domach czynszowych nie pozwala nawet nieco więcej zarabiającym, a obarczonym chociażby dwojgiem dzieci, na korzystanie z nowoczesnych, tak dla zdrowia dziecka niezbędnych wygód, jakimi między innymi jest np. dostateczna ilość światła w nowoczesnych lokalach.

Fatalna sytuacja mieszkaniowa zmusza dziecko do przebywania na ulicy, gdzie znajduje ono dużo miejsca i sposobności do wyładowania nieprzebranego zapasu gromadzącej się w nim energii Jest to zupełnie naturalne, lecz, niestety, nie zawsze bezpieczne i pożyteczne dla zdrowia. Dziecko musi się bawić, lecz, jeżeli chodzi o zabawy ruchowe, to tylko na specjalnie do tego przeznaczonych placach — boiskach, na odpowiednio zadrzewionych skwerach, zieleńcach lub w parkach i ogródkach.

Warszawa w ostatnich 4 latach powiększyła pasy zieleni i skwerów ok. 30 hektarów; zadrzewienie ulic od 1934 do 1937 roku wzrosło o 15 000 drzew. Intensywne ulepszanie naszych to wszystko, bez wątpienia, sprzyja zdrowiu dziecka, spędzającego swój czas poza szkołą właśnie na ulicy, jednak nie rozwiązuje zagadnienia, bowiem najlepszy, bo zorganizowany ruch możliwy jest tylko na właściwych placach-boiskach i w ogródkach Jordanowskich. W tym kierunku robimy znaczne postępy, lecz znowu nieodpowiadające istotnej potrzebie. Powiększa się (w całej Polsce) ilość parków sportowych do 54 (w 1933 r. — 38), powiększa się o 276 (do 1644) liczba boisk do gier wielkich, o przeszło 3.000 (do 7.304) do gier małych, ogrodów Jordanowskich mamy 202. W Warszawie przybywa boisk szkolnych, ponieważ większość nowozbudowanych szkół posiada boiska własne.



Ćwiczenia gimnastyczne na boisku.

Mimo to wszystko kwestia zabawy dziecka na powietrzu nie jest rozwiązana zadawalająco. Dlaczego? Ponieważ wszystkie prawie boiska są boiskami zamkniętymi dla ogółu dzieci lub młodzieży szkolnej niezorganizowanej w kluby sportowe; są one dostępne tylko dla członków klubów — przeważnie dla młodzieży już znacznie starszej. Z ogródków Jordanowskich korzystają tylko dzieci w wieku przedszkolnym, za które zresztą zasadniczo rodzice muszą wnosić pewną opłatę miesięczną.

Boiska muszą stać otworem dla każdego dziecka; ulica naraża je na niebezpieczeństwo ruchu ulicznego i ze względów wychowawczych nie powinna być miejscem jego zabawy. Boiska muszą być bezpłatne, muszą być zorganizowane tak, aby dziecko mogło wyładować tam swe niezmierzone zasoby energii i nie narażało przy tym na jakąkolwiek krzywdę swego zdrowia fizycznego i moralnego.

W związku z zagadnieniem celowego zorganizowania ruchu i zniekształceniami pokrzywiczymi kośćca powstaje olbrzymiej wagi zagadnienie leczenia ułomności kośćca w wieku szkolnym.

Krzywica, wątłość mięśni i zły stan odżywiania są ich najczęstszą przyczyną. Najbardziej rzucającym się w oczy ich wyrazem są skrzywienia kręgosłupa. Bez właściwego leczenia powiększają się one z biegiem czasu, powodując co raz poważniejsze zniekształcenia w budowie ciała u chłopców i dziewcząt, wybitnie niekorzystnie wpływające na rozwój poszczególnych narządów klatki piersiowej i jamy brzusznej. Funkcje zniekształconych narządów są upośledzone, a same narządy łatwiej ulegają wszelkiego rodzaju schorzeniom (m .in. płuca — gruźlicy).

Dzieci ze skrzywieniem kręgosłupa stanowią jeden z najbardziej pod każdym względem upośledzonych elementów w klasie. Nie nadają się do normalnego wychowania fizycznego, nie mogą na równi z innymi uczęszczać na lekcje gimnastyki, pływania itp. Wiek szkolny dziecka jest właśnie tym wiekiem, w którym istnieją wszelkie warunki sprzyjające rozwojowi skrzywień kręgosłupa, których początek sięga jeszcze wieku znacznie wcześniejszego. Wiek ten stanowi również kres możliwości racjonalnego leczenia. Opieka nad zdrowiem dziecka byłaby bardzo daleką od tego, aby można było nazwać ją zupełną, gdyby nie dała mu możności leczenia tego istotnie ciężkiego kalectwa. Niestety, jakże dalecy jesteśmy od tych możliwości i jak mało zdajemy sobie sprawę z powagi zagadnienia.



Chłopcy przy siatkówce na placu zabaw.

Najcięższą porą roku dla dziecka miejskiego jest lato, kiedy z ukończeniem zajęć szkolnych jest ono całkowicie pozostawione ulicy miejskiej, dusznej, zakurzonej, zadymionej i zatrutej spalinami gazów samochodowych. Po całym roku — w przeładowanej klasie szkolnej i przeludnionym mieszkaniu, musi ono znaleźć wytchnienie poza miastem w warunkach t. zw. „świeżego powietrza" — na wsi.

Jest to zagadnienie bardzo trudne, bo związane z bardzo znacznymi wydatkami, lecz mimo to rozwiązanie jego powinno być stale przedmiotem troski tych, w czyich rękach leżą zarządzenia mające na celu podniesienie stanu zdrowia naszego dziecka. Wydajemy wprawdzie 6.670.000 zł na kolonie i półkolonie letnie (na Warszawę przypada w tym 1.722.000 zł, z czego na samorząd terytorialny — 238 000), wysyłamy na wieś 126 700 dzieci (Warszawa — 23 300), a 110 600 (Warszawa — 17 900) na półkolonie, lecz wszystko to jest jeszcze niewystarczające. Wszak u 12 257 dzieci w publicznych szkołach powszechnych w Warszawie (stanowi to 15,7% ogółu) stwierdzamy zły stan odżywiania, u 47% — próchnicę zębów. I jedno i drugie wymaga racjonalnego żywienia dziecka, przebywania na świeżym powietrzu chociażby w czasie letnich miesięcy. Akcja dożywiania w czasie roku szkolnego, wzorowo prowadzona przez Stołeczny Komitet Pomocy Dzieciom i Młodzieży w Warszawie jest akcją nieodzowną, niezbędną, lecz sama przez się nie rozwiązuje zagadnienia: zasadniczym jej dopełnieniem powinna być jak najszerzej ujęta akcja kolonijna.

W ścisłym z nią związku znajduje się sprawa tzw. szkół na świeżym powietrzu i sanatoriów dla ozdrowieńców po cięższych chorobach, lub dzieci słabowitych, przede wszystkim pochodzących ze środowisk gruźliczych.

Los dziecka narażonego przez ciągłe obcowanie z otoczeniem gruźliczym jest w większości przypadków przesądzony na jego niekorzyść. Znakomita organizacja tzw. Ośrodków Zdrowia, która np. w Warszawie staje się co raz bardziej pełną i wzorową, stanowi bardzo ważne, lecz tylko jedno z licznych ogniw w walce z gruźlicą w ogóle, a z gruźlicą dziecka w szczególności. Bez możliwości usuwania dziecka z zagruźliczonego mieszkania, chociażby na pewien tylko czas i umieszczenia go w warunkach sprzyjających wzmożeniu jego odporności,

walka z tym ciężkim cierpieniem nigdy nie będzie mogła wydać dobrych rezultatów. Zagadnienie to staje się u nas sprawą bardzo palącą i wymagającą chociażby częściowego rozwiązania.

Nie mógłbym zakończyć tego pobieżnego przeglądu szkodliwych czynników uderzających w prawidłowy rozwój fizyczny dziecka, gdybym nie poruszył jeszcze jednej, niezmiernie, myślę, ważnej sprawy.

Dziecko w wieku szkolnym jest dzisiaj u nas przeciążone nadmierną pracą. Nie jest to odosobniony głos rodziców: to samo słyszymy z ust pedagogów. Dziecko przechodzi niestety ten okres najrozmaitszych eksperymentów nauczania, a eksperymentowanie to w pierwszym rzędzie w nie właśnie godzi. Przeładowany program nauki szkolnej, zmusza je do nadmiernych wysiłków, w których wyniku dla wielu dzieci koniec roku szkolnego, a przede wszystkim okres przełomowy — początek wiosny, tak wybitnie szkodliwy dla młodego organizmu pod wieloma względami, jest nieraz katastrofalny. Jeżeli ochrona pracy robotnika żąda dla niego najwyżej ośmiogodzinnego dnia pracy, to co mamy powiedzieć o sobie, jeżeli dla młodego, jeszcze nie skonsolidowanego organizmu, w okresie, kiedy należałoby mu dostarczyć jak najlepszych warunków rozwoju, przechodzimy do porządku dziennego wobec jego dziennej pracy przekraczającej bardzo często wspomnianą cyfrę 8 godzin. Mamy obowiązek żądać od niego wiele, nigdy jednak tyle, ile organizm jego bez krzywdy dla siebie nie zdoła podźwignąć.

Dr Marceli Gromski.

... dziecko głodne winno być nakarmione ...

Kto pilnie bada nasze zagadnienia ludnościowe i z powagą myśli o przyszłości Państwa, tego napewno nie trzeba przekonywać, że Polska musi dążyć do ochrony dzieci i roztaczać nad nimi wszechstronną opiekę.

Cóż bowiem z tego, że procentowo mamy dzieci więcej, niż inne narody, kiedy nie dbamy dostatecznie o narastające pokolenie.

Zresztą winniśmy sobie uprzytomnić, że w państwie naszym przyrost naturalny z roku na rok maleje, podczas gdy klęski, trzebiące dzieci, zbierają nadal swe żniwo.

Dlatego, gdy mówimy, że dzieci polskie są przyszłością narodu, — nie wolno, aby słowa te były pustym frazesem.

Dlatego witamy z radością I Ogólnopolski Kongres Dziecka, wyrażając nadzieję, że przyczyni się on do pogłębienia i spopularyzowania problemu dziecka w Polsce.

Wiele myśli ciśnie się do głowy, gdy mówimy o tym Kongresie, wiele bowiem zagadnień trudnych i skomplikowanych stoi przed nami do rozwiązania. Wśród nich jedno jest niesłychanie ważne, choć zarazem bardzo proste w swej wymowie, a przez to niezmiernie obowiązujące, to: sprawa dożywiania dzieci.

„Dziecko głodne winno być nakarmione" — głosi Deklaracja Genewska. Jakże mocny nakaz bije z tych słów, jakże jasny i oczywisty!

Bo czy znajdzie się ktoś, ktoby nie uznał tego nakazu za najpierwszy obowiązek, ktoby nie podał kromki chleba dziecku.

Obowiązujący wszystkich jest ten nakaz i wszyscy mu ulegamy, lecz tylko, gdy, chodzi o dziecko znane, bliskie, stojące przed nami. Do takiego dziecka mamy wszyscy uczuciowy stosunek, zniewalający do okazania pomocy. Sprawa zmienia się jednak, gdy kwestia nakarmienia dziecka staje się ogólniejszą, gdy przekształca się na zagadnienie społeczne o masowym charakterze, krótko mówiąc, gdy chodzi o problem dożywiania szerokich rzesz dzieci biednych.

Wtedy uczuciowy stosunek u wielu słabnie, a na jego miejsce nie przychodzi najczęściej, jak być powinno — świadomość obowiązku.



Tymczasem podjęcie szerokiej i stałej pomocy dzieciom wyniszczonym, niedokarmionym, głodującym — nie da się pomyśleć bez oparcia o zbiorowy wysiłek, nie dający się osłabić ani uśpić żadnymi wahaniami, deliberacjami, ani pocieszaniem się wzajemnym, że „jest lepiej", że „wyszliśmy z kryzysu" itd.

I dlatego wołając, że „dziecko głodne winno być nakarmione", winniśmy zarazem spieszyć z czynem, ze zbiorową, zorganizowaną pomocą.

Mamy w Polsce dzieci i młodocianych z górą 11 milionów.

W samej Warszawie jest około 350 000 dzieci i młodocianych.

Prawda, że nie wszystkie dzieci potrzebują pomocy, ale ileż potrzeb, krzywd, niedoli kryje się poza tymi liczbami. Ile setek tysięcy dzieci w kraju głoduje, niedojada; ileż dziesiątków tysięcy dzieci w Stolicy czeka na kawałek chleba i łyżkę życzliwie podanej strawy!

W roku 1937-38 dożywiano w Warszawie przy pomocy funduszów publicznych około 42 000 dzieci i młodzieży. W tej liczbie było dzieci przedszkolnych ca 5 000, a dzieci w wieku szkolnym blisko 32 000. Z tej liczby trzeba było blisko 4 000 dzieciom szkolnym dawać dodatkowy posiłek popołudniu (w świetlicach).

Czy można powiedzieć, że ta pomoc najuboższym dzieciom Warszawy była dostateczna?

Z pewnością nie, choć nikt nie powie, że była mała.

Jak na nasze stosunki i możliwości, była wydatna, dosięgła bowiem w kosztach prawie 900 000 złotych. Akcja ta nie ogarnęła jednak bezwzględnie wszystkich dzieci, potrzebujących pomocy, choć trzeba uznać, zasada powszechności dożywiania wysunięta przez Pana Ministra Opieki Społecznej i gruntowana przy pomocy utworzonych w r. 1936-37 Komitetów Pomocy Dzieciom i Młodzieży — posunęła sprawę wybitnie naprzód.

Jeżeli jednak zagadnienie dożywiania mimo dotychczasowych wysiłków nawet ilościowo nie zostało całkowicie rozwiązane, to cóż powiedzieć, gdy chodzi o jego stronę jakościową.

Sprawa, którą omawiamy, jest trudna i to nie tylko dlatego, że wymaga ogromnych funduszów, lecz także dlatego,

że dotyczy pomocy masowej, wymagającej odpowiedniego aparatu technicznego; poza tym wiąże się z nią szereg innych kwestyj organizacyjnych.

A więc np. praktyczny działacz społeczny, pracujący z poczuciem odpowiedzialności musi mieć przede wszystkim dokładną orientację kogo dożywiać; musi rozstrzygnąć zagadnienie selekcji i rejestracji dzieci potrzebujących pomocy w dożywianiu. Pod tym względem mamy dużo jeszcze do zrobienia i ulepszenia, choć przyznać należy, że sporo już przemyślano i zastosowano.

Sprawa wieku — to również kwestia; wiadomo bowiem, że innej organizacji wymaga dożywianie dorosłych, a innej dożywianie dziecka, że łatwiej nieść pomoc dziecku szkolnemu w szkole, niż przedszkolakowi w rodzinie, lub nawet w przedszkolu.

Dalej stoi kardynalne pytanie — czym należy dożywiać dzieci, a więc kwestia jadłospisów, z którymi wiąże się zagadnienie kaloryczności posiłków, ich postaci, częstotliwości, ciągłości, utrzymania dożywiania w czasie ferii szkolnych itp.

Gdy chodzi o Stolicę, sprawa tych jadłospisów została już przez praktykę dość dobrze wypracowana: mamy więc dożywianie mlekiem i zupami, urozmaiconymi w ten sposób, że ten sam posiłek powtarza się dopiero po 12 dniach; przeciętną kaloryczność jednego posiłku udało się doprowadzić blisko do 600 kaloryj; do posiłków dodaje się w odpowiedniej ilości pieczywo; starsza młodzież otrzymuje ilościowo posiłki większe.

Inna znów kwestia — to sprawa miejsca dożywiania, a więc pytanie: dom, szkoła czy kuchnia rejonowa?

W Warszawie w stosunku do dzieci szkolnych rozwiązano to zagadnienie częściowo przez zorganizowanie dożywiania w szkołach, częściowo — w kuchniach rejonowych, skupiając akcję w rękach Stołecznego Komitetu Pomocy Dzieciom i Młodzieży i kilku innych stowarzyszeń; w tej liczbie w organizacjach, powołanych do życia przez p. Marszałkową A. Piłsudską i będących pod Jej opieką.

W roku 1937-38 punktów szkolnych było 115, kuchen rejonowych 9; ogółem wydano w nich około 5 milionów porcyj zup i mleka (z pieczywem).

Wspominaliśmy wyżej o funduszach, wskazując na rozmiary niezbędnych środków. Jest to podstawowe zagadnienie w całej sprawie. Od jego pozytywnego rozwiązania zależy trwałość i pomyślność akcji. Skąd wziąć pieniędzy? Do kogo wyciągnąć rękę?

Do państwa, samorządu, ofiarności publicznej?

Praktyka w Stolicy wskazuje, że władze państwowe i samorządowe (Min. Op. Społecznej, Zarząd Miejski, Ubezpieczalnia Społeczna, Fundusz Pracy) pokrywają dużą część wydatków na akcję dożywiania.

Zarząd Miejski np. łoży na nią co rocznie około 200.000 złotych.

Natomiast udział wolnej inicjatywy społecznej jest wciąż nikły.

Przed działaczami stoi więc zagadnienie zorganizowania szerokiej ofiarności publicznej.

W roku 1937-38 — okołc $^{2}/_{3}$ ogólnych kosztów dożywiania w Warszawie pokryto ze źródeł tzw. Pomocy Zimowej. Fakt ten wskazuje, że zorganizowana na szeroką skalę akcja pomocy wzajemnej może być bardzo wydatna, że społeczeństwo pociągnięte do świadczeń może dużo ofiarować.

Trzeba jednak, aby ta akcja była stała; wtedy dopiero uda się zapewnić ciągłość pomocy dziecku.

Należy przekonać społeczeństwo, że dożywianie nie może być sprawą doraźnej, fragmentarycznej pomocy, od przypadku do przypadku, od zimy do zimy; że, aby uchronić dzieci od wyniszczenia, a nieraz śmierci — musi ona być akcją stabilizowaną.

Poza tym trzeba stale podkreślać i uprzytamniać komu należy, że właściwie zorganizowana akcja dożywiania — to także pomoc kulturalna i działalność wychowawcza o dużym społecznym znaczeniu.

Położenie odpowiedniego nacisku na stronę wychowawczą zagadnienia, mogłoby uczynić z dożywiania, np .w szkole, ważki środek pomocniczy w jej programie pracy kulturalnej nad dzieckiem.

Z tego, co powiedzieliśmy wyżej wynika, że trzeba planowej pracy i zbiorowego wysiłku.

Akcja powinna być wielka, powinna mieć ogromny zasięg, gdyż czeka na nią w stolicy kilkadziesiąt tysięcy dzieci, a w całej Polsce około dwóch milionów.

Muszą więc mówić o niej wszyscy działacze, zdający sobie sprawę z wagi problemu dożywiania; dopiero wówczas nakaz, że „dziecko głodne winno być nakarmione" stanie się prawem powszechnym wszystkich dzieci, upośledzonych przez życie i zarazem obowiązkiem zbiorowym tych wszystkich, którym sprawa przyszłości narodu naprawdę leży na sercu.

Aleksander Dąbrowski
Prezes Stołecznego Komitetu
Pomocy Dzieciom i Młodzieży.

... dziecko chore winno być pielęgnowane ...

W żadnym okresie życia człowieka nie zagraża jego zdrowiu tyle niebezpieczeństw co w wieku dziecięcym; żaden też okres nie wymaga tyle opieki nad zdrowiem co dzieciństwo. Wiele chorób dziecięcych wynika z nieprawidłowego postępowania opiekunów. Wiele wynika z niedoskonałych urządzeń życia zbiorowego. Niektóre choroby przemijają lekko i bez śladu. Inne pozostawiają ślad na całe życie. Każda choroba — to większa czy mniejsza przeszkoda na drodze prawidłowego rozwoju dziecka. Dlatego można powiedzieć, że choroba dziecka to choroba podwójna: aktualna strata na zdrowiu i zahamowanie normalnego przyrostu sił, a więc strata na przyszłość.

Społecznie rzecz biorąc, choroby dziecięce trzeba uznać za wielką klęskę, gdyż występując często masowo pochłaniają one olbrzymie ofiary życia, zdrowia i wartości materialnych.

Zagadnienie chorego dziecka ma także zabarwienie uczuciowe — współczucie w stosunku do bezbronnego, cierpiącego stworzenia, z którym się wiążą najlepsze nadzieje przyszłości, staje się potężnym bodźcem do pracy samarytańskiej, a nieraz bywa źródłem natchnienia artystycznego.

Względy rozumu i serca wskazują zatem na ważność sprawy chorego dziecka w społeczeństwie. Jakim dziwnym anachronizmem wydać się musi pogląd nader rozpowszech-

niony jeszcze parę set lat temu, że poważny lekarz nie zajmuje się leczeniem dzieci, że opieka nad małym pacjentem ubliża godności nauki! Dziś pediatria należy do najżywszych i najbardziej „naukowych“ działów medycyny, a jej zdobycze dały podłoże do postępów nowoczesnej cywilizacji, przyspieszając przyrost ludności, ograniczając wymieranie i wnosząc optymizm i wiarę w lepszą przyszłość społeczeństw.



U łóżeczka chorego dziecka.

Liczbowe ujęcie sprawy chorych dzieci jest wręcz niemożliwe. Niewątpliwie jednak liczby chorujących są olbrzymie. Nie istnieje bodaj dziecko, któreby nie chorowało choć raz do roku, przynajmniej w pierwszych latach życia. Kilkanaście procent dzieci choruje śmiertelnie i umiera przed osiąg-

nięciem pierwszego roku życia. Wiele choruje ciężko i staje się kalekami na całe życie. W krajach cywilizowanych większość nie opanowanych jeszcze chorób zakaźnych stanowią choroby dziecięce. Prawie każde dziecko przechorowuje na odrę. Większość na ospę wietrzną i świnkę. Część na szkarlatynę, błonicę i krztusiec. Zaburzenia żołądkowo-jelitowe, choroby narządów oddechowych, krzywica — to są klęski masowo atakujące dzieci.

W większości przypadków pomoc choremu dziecku polega na dobrej pielęgnacji domowej pod nadzorem lekarza. Jest to najistotniejsza opieka nad dzieckiem. Opieka przede wszystkim powinna być umiejętna i staranna. Jeżeli te warunki będą spełnione — połowa kuracji będzie wykonana. Zadaniem lekarza pozostanie czuwać nad prawidłowym postępem powrotu dziecka do zdrowia. Niestety, w innych przypadkach lekarz musi użyć całego zasobu środków, którymi rozporządza, zaangażować całą swą wiedzę i włożyć wszystkie siły, by ratować ciężko chorego. Ciężko chore dziecko wymaga szczególnie dobrej opieki. Rzecz jasna, wymaga więcej opieki niż chory dorosły; wymaga także i odpowiednich warunków — pomieszczenia, urządzeń, diety itd. Nie wszystko to łatwo osiągnąć w każdej rodzinie. Nieraz jedynie szpital może dać to, czego potrzeba.

Jak się przedstawia zdrowotna pomoc dziecku w Polsce? Dla najciężej chorych i takich, które w domu nie mogą się leczyć mamy 4.340 łóżeczek w szpitalach (wg stanu z 1. I. 1938 r.). Czy to jest dużo, czy mało? Przyznać trzeba, że niezbyt dużo, bo na 1000 dzieci przypada około 0,4 łóżka. Jest to rzeczywiście zupełnie mało, nawet w porównaniu z ogólną liczbą łóżek szpitalnych w Polsce, których wypada 2,3 na 1000 ludności. Sytuacja okaże się korzystniejsza, jeżeli się doda, że poza liczbą 4340 istnieje w Polsce 1951 łóżek w prewentoriach dziecięcych oraz, że większość miejsc w oddziałach zakaźnych są to również łóżeczka dla dzieci. W Warszawie i w innych wielkich miastach skupia się większość szpitali. Tak nprz. z ogólnej liczby łóżek szpitalnych na 1000 ludności Warszawy wypada 6,6, zaś łóżek dziecięcych 2,2 na 1000 dzieci do lat 15-tu.

Ważniejszym bodaj zagadnieniem jest poziom i stan opieki nad chorym dzieckiem w domu. Wiąże się to z ogólnym

stanem kultury społeczeństwa, zależy w dużej mierze od stopy życiowej ludności, rozsiedlenia i dostępności lekarzy i od wielu innych czynników, lecz w pierwszym rzędzie od umiejętności i przygotowania matek, bo w ich rękach przede wszystkim leży sprawowanie opieki nad dzieckiem w zdrowiu i chorobie. Dziecko, zwłaszcza w pierwszym roku życia, znajduje się często na pograniczu zdrowia i choroby. Błahy pozornie bodziec może zakłócić czynności jego organizmu — pielęgnowanie więc wymaga dużej uwagi i wnikliwości, by nie przeoczyć początkowych objawów choroby, a także by umieć dostrzec i usunąć przyczynę.

Również wśród dzieci przedszkolnych i szkolnych przyczyna choroby przeważnie jest możliwa do usunięcia zawczasu, tak że nie sposób oddzielić zwalczania chorób od zapobiegania. I znowuż na rodziców kładzie się brzemię obowiązku — takie ułożenie warunków domowych, by zgodne były z wymogami fizjologii i higieny.

Przenikanie uświadomienia higienicznego w najszersze masy ludności jest bodaj najważniejszym czynnikiem, jeżeli idzie o podniesienie opieki nad zdrowiem dzieci. W tej dziedzinie istnieją pewne podstawy do optymizmu. Przytoczone w innych artykułach statystyki wskazują na postępujący spadek współczynnika umieralności niemowląt w Polsce — tego czułego wskaźnika stopy kulturalnej wszystkich warstw narodu.

Pocieszającym jest ciągły rozwój poradni dla niemowląt. Kilka lat temu pracowało w całym kraju zaledwie parę pokazowych poradni, które się opiekowały nieliczną gromadką niemowląt. W roku 1937 poradni było 570, miały one pod opieką 187871 dzieci. Lekarze poradni udzielili 626269 porad, tj. po przeszło 3 na każde dziecko. Pielęgniarki społeczne odwiedziły niemowlęta w domu 347969 razy, t. zn. prawie 2 razy każda młoda matka znalazła pomoc i radę na miejscu, jak wykorzystać warunki domowe dla zdrowia i dobrobytu dziecka. W wyścigu pracy dla dobra dziecka przodują miejscowości większe i bogatsze, a więc miasta. Warszawskie poradnie miejskie miały w r. 1937 pod opieką 9571 niemowląt, którym udzieliły 45239 porad lekarskich i 22937 odwiedzin pielęgniarskich w domu.

Liczby te napawają otuchą. Świadczą one, że postęp w higienicznej opiece nad dzieckiem rozlewa się szeroką falą po całym kraju. I chociaż poradnie niemowlęce obejmują dziś tylko niewielką część dzieci, to część ta z roku na rok rośnie. Kilkanaście procent wszystkich niemowląt w Polsce znajduje już stałą opiekę w poradniach, a co ważniejsze procent ten wciąż rośnie. Powszechna opieka higieniczna nad zdrowiem dziecka okazuje się w Polsce rzeczą realną i to jest największą zdobyczą. Po stwierdzeniu tego faktu — dalszym etapem będzie stopniowa rozbudowa sieci poradni, by każda matka, która chce wychować zdrowe dziecko mogła znaleźć dostępną i życzliwą pomoc i wskazówkę w poradni niemowlęcej. Równolegle z tym winno iść uświadomienie matek, by wszystkie rozumiały potrzebę fachowej rady w pielęgnowaniu tak chorego, jak i zdrowego dziecka.

W ten sposób spełnimy i rozszerzymy nakaz Deklaracji Genewskiej, że „dziecko chore winno być pielęgnowane".

Dr Edward Grzegorzewski.

... dziecko wykolejone winno być zwrócone na właściwą drogę...

Niełatwo porozumieć się psychologom i pedagogom, gdy chodzi o określenie pojęcia — dziecko trudne. Jeszcze bardziej skomplikowane może jest pojęcie — dziecko wykolejone. Obydwa terminy nie pokrywają się ze sobą, chociaż w praktyce często się ich nie rozróżnia. Wykolejenie jest tym etapem trudności, kiedy nastąpiło już pewnego rodzaju utrwalenie cech, które uważamy w dziecku za ujemne i niepożądane. Czym mocniej te cechy są utrwalone, tym głębsze jest wykolejenie, a co za tym idzie — tym trudniejsza praca nad usunięciem zła, tym mniejsze szanse dla wysiłku wychowawcy W stosunku do dziecka wykolejonego nie wystarczają już profilaktyczne zabiegi wychowawcze, ale wymaga ono specjalnej, indywidualnej terapii, która wtedy istotnie leczy, gdy jest odpowiednio zastosowana. Trudno odmówić ludziom zajmującym się zawodowo wychowywaniem dziecka wykolejonego— dobrej woli. Spotykamy się niejednokrotnie z dużym poświę-

ceniem ze strony wychowawców czy wychowawczyń. Tym niemniej wiemy dobrze, że odsetek naprowadzenia na właściwą drogę tych istotnie wykolejonych, jest stosunkowo niewielki. Doświadczenie pozwala przypuszczać, że dzieje się tak dla dwu głównie przyczyn: dlatego, że ludzie zajmujący się dzieckiem trudnym i wykolejonym niedość jasno uświadamiają sobie pewne ogólne zasady, warunkujące powodzenie tej pracy, a powtóre dlatego, że — niezależnie od tego co się mówi i pisze — indywidualizacja w praktyce nie jest jeszcze należycie doceniana. Chodzi tu zarówno o indywidualizację w doborze metod jak i w sposobie ich stosowania.



Reprodukcja obrazu Stanleya „Pierwsze przestępstwo"

Niezależnie od poruszonych wyżej spraw, które postaram się w najogólniejszych zarysach omówić, niezmiernie ważna jest kwestia poznania przyczyn wykolejenia. Są przyczyny pośrednie i bezpośrednie. Przyczyny pośrednie tkwią zazwyczaj korzeniami w środowisku — składają się na nie: złe warunki materialne i moralne, zły stosunek rodziców czy opiekunów lub ich nieumiejętne podejście do dziecka, co sprawia, że wykolejenie nie jest smutnym przywilejem t. zw. dzieci ulicy, a wreszcie obciążenie dziedziczne, które często eliminuje dziecko poza nawias życia społecznego. Przyczyny bezpośrednie łączą się ściśle z mechanizmem psychicznym dziecka przy specjalnym udziale cech indywidualnych w każdym poszczególnym przypadku. Przyczyny pośrednie są bardziej złożone — nawarstwiały się one od najwcześniejszego dzieciństwa i kropla po kropli przygotowywały grunt, torowały drogę dla uzewnętrznienia się dyspozycji ujemnych ze szkodą dla rozwoju dyspozycji dodatnich. Przyczyna bezpośrednia jest już tylko momentem wyzwalającym dla tego, co przygotowały lata. Dlatego zrozumiałym jest, że aby pomóc dziecku wykolejonemu, niezbędne jest poznanie jego przeszłości, warunków domoych i stosunków rodzinnych, osób, które się dzieckiem zajmowały, poznanie sytuacji dziecka w szkole, (o ile do szkoły uczęszczało). Dopiero na tym tle socjologicznym może się nam zarysować prawdopodobna sylwetka psychiczna dziecka. Poznanie tego tła powinno opierać się zarówno na naszej osobistej obserwacji, jak i na zaznajomieniu się z oceną i stosunkiem dziecka do osób i faktów wiążących się z jego życiem. Porównanie subiektywnej oceny dziecka z naszym obiektywnym sprawdzianem pozwoli czasem uchwycić, w jaki sposób zewnętrzna strona życia załamuje się w psychice danego dziecka i jaki ma wpływ na jej kształtowanie.

Przechodząc do ogólnych zasad, które — moim zdaniem— musi sobie wyraźnie uświadomić każdy, kto zajmuje się dzieckiem trudnym, a szczególnie ci, którym powierzone są dzieci wykolejone, uważam że przede wszystkim podkreślić należy konieczność uzgodnienia z dzieckiem sądu o jego postępowaniu. Nie chodzi o to, by dziecku swój sąd narzucić ,ale by poprowadzić jego myśl po takich torach, żeby samodzielnie— w tej mierze, w jakiej mu jego wiek, rozwój intelektualny i moralny pozwala — doszło do wspólnych z nami wniosków.

Osiągnąć to dosyć łatwo. Dziecko na ogół (z wyjątkiem nerwowo chorych i psychopatów) ocenia swe postępowanie właściwie, raczej z tendencją do wyolbrzymiania swej winy — chociaż nie zawsze się do tego przyznaje.

Z chwilą gdy dziecko uświadomiło sobie, co w jego postępowaniu było złe i zrozumiało czym mu to grozi w przyszłości — budzi się w nim chęć, by do dawnych błędów nie wracać, by linię życia wyprostować. Podkreślenie, omówienie i wyraźne uświadomienie dziecku tej chęci jest drugim etapem pracy wychowawczej.

Potem następuje moment najważniejszy: dziecko musi uwierzyć, że może być inne, że to czy będzie inne od niego samego przede wszystkim zależy. Częściej niż przypuszczamy, dziecko jest zrezygnowane, uważa się za stracone, a wszelki wysiłek za niecelowy. Najtrudniejszym zadaniem wychowawcy jest wpoić w dziecko mocne przekonanie, że nic jeszcze nie przepadło, że droga do samowychowania stoi przed nim otworem (nie wolno zapominać, że reedukacja odbywa się jedynie na drodze samowychowania). Najlepiej — pokazać dziecku w tym celu — pozytywne strony jego charakteru, odnaleźć i uświadomić mu tkwiące w nim wartości, na których może się oprzeć rozpoczynając budowę nowego gmachu: uczciwego życia i prawego charakteru. A dziecko — nawet bardzo zepsute — z natury swej Piękna i Dobra pragnie i do niego dąży.

Gdy spostrzeżemy, że dziecko „rozprostowało" się już psychicznie (co zwykle zresztą znajduje odpowiednik w zmianie postawy zewnętrznej), wtedy swobodnie możemy omówić sposoby i środki ułatwiające pracę samowychowawczą, starając się, by inicjatywę w jak największym stopniu przerzucić na dziecko. Nie zapomnijmy wtedy dać dziecku do zrozumienia, że nie od razu osiągnie swój cel, że spotka niepowodzenia i że niejeden wysiłek pójdzie jak gdyby na marne, ale mimo wszystko nie wolno się zniechęcać. Młodzieży ukazujmy tę drogę odbudowy własnego życia jako drogę bohaterstwa. Takie postawienie sprawy daje wychowawcy ogromne możliwości. Ważnym jest również, by wysiłek, którego żądamy nie przekraczał możliwości dziecka — bezpieczniej zaczynać w granicach minimalnych, ale wymagać konsekwentnie całkowitego wypełnienia przyjętych przez dziecko zobowiązań.

Jest rzeczą oczywistą, że wszystkie omówione wskazania są tylko ogólnym tłem, które o tyle będzie coś warte o ile dostosujemy je odpowiednio do każdego dziecka czy młodocianego, zależnie od właściwości jego wieku, płci oraz z uwzględnieniem jego charakteru indywidualnego. Często w pracy wychowawczej ujmuje się indywidualizację zbyt płytko, ograniczając ją do powierzchownej, nieprzemyślanej rozmowy i pseudo-serdecznego zainteresowania się dzieckiem Wyniki są bardzo wątpliwe zwłaszcza, jeżeli wziąć pod uwagę, że dziecko trudne i wykolejone jest zazwyczaj bardzo krytycznie ustosunkowane do starszych w ogóle, a w szczególności do tych, którzy z urzędu dziećmi się zajmują.

Poza tym, sprawą równorzędnej wagi jest stosunek wychowawcy do dziecka. Chodzi tu raczej o postawę wewnętrzną niż cechy zewnętrzne. Dziecko odczuje, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, brak prawdy i dysharmonię między tym, co wychowawca mówi, a tym co myśli i czuje. Dziecko trudne czy wykolejone wyczuje, jeżeli wychowawca krzywdząco identyfikuje je z jego postępowaniem. Mamy prawo i obowiązek czyny moralnie ujemne oceniać tak, jak na to zasługują, ale nie wolno przenosić tej oceny na osobowość dziecka, nie wolno dziecka sądzić i potępiać na podstawie jego postępowania. Dziecko wykolejone bardziej niż każde inne musi znaleźć w wychowawcy oparcie moralne, musi głęboko uwierzyć w jego dobroć, sprawiedliwość i umiejętność przyjścia mu z pomocą. Między dzieckiem a wychowawcą musi być nawiązany ścisły, bliski kontakt, częstokroć skąpy w formie, ale zawsze istotny i głęboki w treści. Wtedy podstawą współpracy dziecka i wychowawcy jest obopólne zaufanie i obopólny szacunek, dający gwarancję wykorzystania wszystkich możliwości na żmudnej drodze niwelowania ujemnych, a przyswajania nowych — moralnie i społecznie dodatnich — wartości.

Publicystyka ostatniej doby chętnie poświęca swe szpalty dziecku wykolejonemu, lecz robi to raczej w sposób felietonowy, a tym samym przenosi zagadnienie na płaszczyznę beletrystyki. Jakkolwiek nie trudno przyznać ,że temat jest barwny i bogaty, tym nie mniej — tanimi efektami w rodzaju opowiadania o „przedsiębiorczym trampie" czy perypetiach „słowika Kujaw" nie uczyni zadość potrzebom życia i nie

zmniejszy się odpowiedzialności społeczeństwa wobec pełnej tragizmu kwestii wykolejenia nieletnich.

Opieka społeczna stolicy nie lekceważy tej doniosłej sprawy. W ciągu ostatnich trzech lat zorganizowany został Zakład Obserwacyjno-Rozdzielczy (Pogotowie Opiekuńcze dla Dzieci) oraz zreorganizowano kilka zakładów specjalnych.

Komenda Policji utworzyła Izbę zatrzymań.

Ponadto uruchomione zostały, wypełniając dotkliwą lukę w tym zakresie, specjalne domy noclegowe dla młodzieży (ognisko dla młodzieży oraz ogniska Tow. Przyjaciół Dzieci Ulicy).

Wśród placówek, mających związek z zagadnieniem dzieci wykolejonych wymienić należy zreorganizowany gruntownie przed rokiem Instytut Mokotowski, przeznaczony dla chłopców zaniedbanych i trudnych do prowadzenia.

Współpraca tych instytucyj pozwala na pewną ciągłość opieki w stosunku do dzieci wychowawczo zaniedbanych, trudnych i wykolejonych.

Postawienie tej gałęzi opieki na wysokości zadania, musi być z dużym nakładem sił i kosztów przeprowadzane planowo przez szereg lat. Sprawdzianem celowości pracy będzie zmniejszająca się z roku na rok ilość spraw w Sądzie dla Nieletnich, fakt dowodzący, że zapobiegając dosyć wcześnie trudnościom, nie dopuszczono do tej fazy, gdzie wykolejenie występuje w formie przestępstwa.

Mówiąc o konieczności celowych poczynań nie mozna pominąć milczeniem braku rozporządzeń o walce z żebractwem i włóczęgostwem wśród nieletnich. Stwarza to ogromne trudności w pracy policji kobiecej, zwłaszcza, że od czasu rozpoczęcia systematycznej kampanii przeciw żebrakom i włóczęgom dorosłym wzrosło niesłychanie żebractwo wśród dzieci. Izba zatrzymań kierowana przez policję kobiecą zawsze jest przepełniona. Lecz, czy w tych warunkach, spełnia ona jakąś donioślejszą rolę — byłoby to sprawą do przedyskutowania.

Niezależnie jednak od wszystkich poczynań oficjalnych, całe społeczeństwo musi się do tego zagadnienia należycie ustosunkować. Musi na każdym kroku dopomagać tym, których ani dom rodzinny, ani dobra szkoła żyć nie nauczyła.

Wtedy dopiero, gdy nie będziemy się ani bać, ani gorszyć, ani lekkomyślnie potępiać tych — niejednokrotnie — najmniej winnych, wtedy realizować się zacznie w pełni, w granicach przekraczających ramy elementarnego kształcenia — wołanie wielkiego serca Konopnickiej: „Pójdź dziecię — ja cię uczyć każę".

Maria Korytowska.

... sierota i dziecko opuszczone winno być wzięte w opiekę i wspomagane...

Sieroctwo — to najstarsze, nieodłączne od życia wszystkich społeczeństw nieszczęście. Świadomość konieczności opieki nad sierotami istnieje tak dawno, jak dawno zbudziły się w ludzkich gromadach instynkty społeczne. Sieroty były zawsze i będą — zawsze. Nikt tak nie budzi litości w sercach szerokich mas, jak sierota. Można np. wątpić, czy „zasługuje na pomoc" bezrobotny. Znajdzie się dużo takich osób, które pomimo trwającego od szeregu lat bezrobocia, nie widzą w nędzy bezrobotnego przejawów katastrofy ogólnej, lecz własną jego winę: nie chce, nie umie pracować.

Pomoc sierocie — nie podlega dyskusji. Słowo „sierota" znajdzie zawsze oddźwięk w litościwych sercach. Dziecko przy matce — głodującej i nieszczęśliwej, może być pozostawione bez pomocy. To samo dziecko, gdy matka umrze, znajdzie łatwo opiekunów. Przynajmniej na czas jakiś krótki. To też pewna ilość sierot trafia po śmierci rodziców bezpośrednio do litościwych sąsiadów, krewnych lub znajomych, gdzie utrzymywana jest „z litości". Część tych sierot asymiluje się w rodzinach i pozostaje tam jako „wychowanek" lub „wychowanka".

Takie branie dzieci bezpośrednio z życia do domów prywatnych „na wychowanie" jest najprostszą formą opieki nad sierotami.

Stosunek społeczeństwa do dzieci opuszczonych, do tzw. podrzutków, był zawsze inny. Piętno złego uczynku rodziców pada jakby na dzieci. Są to dzieci „cudze". Rzadko kto zaopiekuje się na dłuższy czas dzieckiem opuszczonym.

Dla sierot, które nie znalazły opiekunów i dla dzieci opuszczonych musiała się wytworzyć jakaś forma opieki społecznej zorganizowanej.



Dzieci opuszczone.

Pierwotną formą była opieka indywidualna, opieka w rodzinach obcych — bez opłaty, a nawet za opłatą.

Sieroty po męczennikach w pierwszych latach chrześcijaństwa oddawane były na wychowanie wdowom — za wynagrodzeniem.

Umieszczanie sierot w rodzinach obcych stosowano oddawna we wszystkich państwach Europy, Australii, Ameryki, lecz nie stosowano tego, jako system wychowawczy. Były to nie zorganizowane wysiłki, lecz poszczególne wypadki.

Obok tych sporadycznych wypadków, obserwujemy powstawanie specjalnych domów, gdzie gromadzono dzieci nie mające opieki.

Istnieją tedy od dawna równolegle dwie formy opieki nad sierotami: opieka zakładowa, a więc opieka nad większą lub mniejszą grupą dzieci — i opieka indywidualna, nad pojedynczym dzieckiem—sprawowana przez rodziny obce lub krewne.

Pierwszy zakład, który to zadanie spełniał w Polsce — to tzw. szpital Św. Ducha w Sławkowie, założony przez bł. biskupa krakowskiego, Pełkę, w roku 1203. Był to zakład, który skupiał wszystkich potrzebujących pomocy, a więc chorych, biednych, sieroty, podrzutki. Selekcja na zakłady lecznicze, domy dla dzieci itd. nastąpiła dopiero później. Pierwszy zakład o wyraźnym przeznaczeniu: dla podrzutków i sierot powstał w r. 1629 przy kościele Św. Benona w Warszawie.

Od tej daty ilość zakładów w Polsce rośnie. Wojna stworzyła konieczność powiększenia znów ilości zakładów, tak że w roku 1925 mamy olbrzymią cyfrę 1175 zakładów i 83712 wychowanków. W latach późniejszych ilość zakładów maleje.

Wychowanie gromadne wzbudza wiele zastrzeżeń. Według zdania radcy Babickiego: „Koszarowość życia zakładowego, szablon dnia, jednostajność posiłku, brak wyłącznej własności, a przede wszystkim brak łączności ze środowiskiem wpływają na kształtowanie się typu wychowanka „zakładowego", wyróżniającego się aspołecznymi cechami". Szumanówna podaje jako fakty: starsze dzieci torturują młodsze, homoseksualizm, onanizm, prostytucja.

O koszarowości wychowania zakładowego mówi najlepiej pojemność niektórych zakładów. Tak np. w Polsce mamy 8 zakładów, gdzie liczba wychowanków sięga powyżej 300-tu dzieci.

Zastrzeżenia co do dobrych wyników wychowania gromadnego skłaniają wszystkie państwa do zmian systemu koszarowego na bardziej zbliżony do wychowania indywidualnego. Zamiast wielkich gromad w dużych gmachach, lokowano dzieci w szeregu małych domków w grupach po kilkoro lub kilkanaścioro — pod kierunkiem inteligentnego małżeństwa lub wychowawczyni. Powstają w ten sposób całe wioski sierot. Ideę tę przeniesiono potem i na miasta, w których zarząd miejski wynajmował dla rodzin sierocych domki na przedmieściach, gdzie umieszczane były grupy: 10 do 20 wychowanków, lub wynajmowano mieszkania 3-pokojowe, w których umieszczano grupkę dzieci 10—12, pod opieką bezdzietnego małżeństwa.

W ten sposób powstało np. w Anglii przeszło 1000 domków, w których do dziś jeszcze wychowują się dzieci w małych rodzinkach. Grupa dzieci powinna być tak dobrana, by

były tam dzieci rozmaitego wieku i różnej płci, tak jak to bywa w normalnych rodzinach.

W obrębie dużych zakładów rozbijano dzieci na grupki po kilkanaście osób, różnego wieku, tworząc z nich „rodzinki", przy czym najstarsza z dziewcząt była „mamą" całej gromadki.

Ideą Tow. Gniazd Sierocych, powstałego w Polsce w roku 1908, były także małe grupki dzieci — po 15 — wychowywujące się wraz z dziećmi rolnika — gospodarza na wsi. Jeszcze obecnie istnieją takie 2 gniazda, w których wychowuje się po 12 dzieci-sierot. Grupa 15 dzieci, oddawana pod opiekę rodziców lub wychowawców okazała się jednak za duża. Obecne projekty idą w kierunku zmniejszenia liczby dzieci do 5.

Zmniejszenie grupy dzieci, będących pod opieką wychowawczą stało się więc nakazem polityki opiekuńczej wszystkich społeczeństw Europy, Ameryki, Australii.

Anglia już w 1924 roku ma w zakładach dawnego typu tylko dzieci anormalne, chore, kalekie. Wszystkie dzieci normalne są albo w oddzielnych domkach, albo w wioskach sierocych, u rodzin obcych lub krewnych.

Wyraźna zmiana oficjalnej polityki opiekuńczej w Polsce datuje się dopiero od końca 1932 r., kiedy to M. O. S. wydało zarządzenie do przejścia z akcji zamkniętej na opiekę otwartą.

Wcześniej jednak zaczynają tę akcję czynniki samorządowe i instytucje prywatne. (Łódź — w 1926, Komitet Umieszczania Sierot — w 1930, Związek Tow. Opieki nad Sierotami Żydowskimi).

Widomym znakiem wpływu nowej polityki M.O.S. i samorządów na życie zakładów jest zmniejszenie wydatne tak ilości zakładów, jak i liczby wychowanków, jak o tym świadczą zestawienia statystyczne:

W 1925 r.	zakładów	1175 —	wychowanków	83712
1928	„	968	„	51712
1932	„	887	„	44177
1934	„	882	„	42484
1935	„	910	„	42982
1936	„	881	„	41975

W stosunku więc do roku 1925 mamy o 294 zakłady mniej.

Zresztą, ilość zakładów nie charakteryzuje dostatecznie tego zjawiska. Natomiast, znamienny jest tu wzrost ilości zakładów specjalnych. Statystyka za ostatnie lata podaje

Ilość zakładów specjalnych:

Rok	Liczba zakładów	Liczba wychowanków
1934	55	3 453
1935	59	3 961
1936	64	4 193

Tu liczba i zakładów i wychowanków zwiększa się. W otwieraniu nowych zakładów dla dzieci anormalnych przoduje Warszawa.

Rok	Liczba zakładów	Liczba wychowanków
1934	7	485
1935	8	622
1936	12	758

Wobec tego, że liczba ujawnionych w normalnych zakładach dzieci, nadających się do zakładów specjalnych wynosi w Warszawie 1313, nie możemy się spodziewać w najbliższym czasie wybitnego zmniejszenia ilości zakładów. Natomiast liczba wychowanków może ulec i ulegnie napewno dalszej zniżce.

Ilość wychowanków w zakładach zmniejszyła się w Polsce w stosunku do roku 1925 o 50% (83712 i 41975). Zmniejszyły się również grupy wychowanków w poszczególnych zakładach. Uwzględniwszy pojemność wszystkich zakładów, która wynosi 45 899 miejsc, w zakładach mamy obecnie blisko 4 000 miejsc pustych.

Idzie tu wzmożona akcja w dwóch kierunkach: usuwanie nadmiaru dzieci z zakładów, a więc zorganizowanie odpływu i wstrzymanie nadmiernego dopływu wychowanków. W obydwu zagadnieniach położono nacisk na wciągnięcie komórek rodzinnych do współudziału.

W roku budżetowym 1935-36 oddano z zakładów do rodziców i krewnych 5 598 dzieci, a do rodzin zastępczych 916 dzieci.

Sanacja stosunków rodzinnych poprzedza oddanie dzieci tej rodzinie, której rozbicie było przyczyną umieszczenia dzieci w zakładzie.

Według stosunków rodzinnych można podzielić wychowanków zakładów na 2 grupy (brak danych co do 6 010 dzieci):

G r u p a I.

Ojciec i matka żyją . . .	9 088	
Półsierot	10 840	
Sieroty mające krewnych .	4 219	24 147

G r u p a II.

Nieślubne	5 976	
Sieroty bez krewnych . .	3 729	
Pochodzenie nieznane . .	2 113	11 818

Grupa I-sza to dzieci mające jakieś normalne więzi rodzinne na świecie. Dzieci te nie straciły jeszcze nadziei na powrót do własnego środowiska rodzinnego.

Z grupy II-ej — dzieci nieślubne są w najgorszej sytuacji rodzinnej. Matki ich rzadko zdradzają chęć wzięcia na siebie roli opiekunek.

W stosunku do dzieci nieślubnych i ich matek zorganizowano w Polsce, a specjalnie w Warszawie, na szeroką skalę zakrojoną akcję opiekuńczą, której celem jest zapobieganie podrzucaniu dzieci przez roztoczenie opieki nad matką.

Akcja ta ma na uwadze nie tylko zapobieganie podrzucaniu, ale i stworzenie takich warunków materialnych i moralnych dla matki, by mogła ona sama dziecko to wychować.

Pielęgniarki przyszpitalne w zakładach położniczych, domy matki i dziecka, pomoc materialna i prawna Ośrodków Zdrowia i Opieki — oto placówki, dzięki skoordynowanej pracy których udało się w ostatnich latach zmniejszyć ilość podrzutków w Warszawie.

1934-35	594
1935-36	547
1936-37	494

Jednocześnie z walką z podrzucaniem włożono dużo wysiłku w ujawnienie matek dzieci uprzednio podrzuconych. Odsetek dzieci podrzuconych, którym odszukano matki — rośnie. W roku 1936 ujawniono 53% matek.

W grupie II mamy łącznie 5 842 dzieci, które utraciły łączność z jakąkolwiek komórką rodzinną. Są to dzieci sieroty i te podrzutki, których rodzice pozostali nieznani.

Jedynym wyjściem dla tych dzieci — poza zakładem — jest umieszczenie ich w rodzinach zastępczych.

W roku budżetowym 1935-36 umieszczono w rodzinach zastępczych 916 dzieci.

Ilość dzieci w rodzinach zastępczych obliczona została dla całej Rzeczypospolitej na rok 1936:

	Rodzin	Dzieci
W miastach . .	3 354	4 404
Na wsi	2 821	3 769
Razem	6 175	8 173

Obecnie liczba ta jest napewno większa. Nie wiadomo zresztą, czy obejmuje ona dzieci oddawane od szeregu lat przez Dom Ks. Boduena i inne zakłady na opiekę bezpłatną.

Opieka zlecona — w najszerszym słowa tego ujęciu — obejmuje wszystkie te wypadki, gdy dzieci oddawane są do rodzin obcych lub krewnych — na wychowanie z opłatą lub bez opłaty. Ta forma opieki nad sierotami stała się w ostatnich latach ustalonym systemem wychowawczym, który zdobył sobie już wszędzie prawa obywatelstwa. Nikt już nie wątpi, że lepszą opieką otoczyć można pojedyńcze dziecko, umieszczone w rodzinie bezdzietnej, niż gromadę dzieci w odgrodzonym od życia realnego zakładzie, choćby dom ten był pięknym pałacem książęcym (Wiedeń). W praktyce dzieci oddawane z opłatą asymilują się równie prędko w rodzinie, jak i dzieci, brane bez opłaty — o ile oczywiście dokonano dobrego doboru rodziców.

O doskonałych rezultatach tego systemu mówią setki zdumiewających faktów najszczerszej miłości przybranych rodziców do dzieci, mówią o tym liczne prośby o przeprowadzenie adoptacji dzieci.

Niestety, adoptacja dzieci na terenie b. Kongresówki jest niewykonalna. Rodzice przybrani przychodzą z wyraźnym nastawieniem: chcą wziąć dziecko „za swoje". Ustawodawstwo nasze zezwala na adoptację dopiero w 21 roku życia i gdy rodzice mają lat 50.

W ostatnim roku wyszedł w druku „Projekt prawa o stosunkach rodziców i dzieci", wydany przez Komisję Kodyfi-

kacyjną. W projekcie tym czytamy na str. 25: Art. 90. „Przysposobić cudze dziecko może osoba z pełną zdolnością do działań prawnych, która ukończyła lat czterdzieści i nie ma zstępnych, urodzonych z małżeństwa. Przysposabiający musi być przynajmniej o 15 lat starszy od przysposobionego".

Jest to narazie tylko projekt. Wejście jego w życie ułatwi znacznie akcję oddawania dzieci do rodzin zastępczych, tymbardziej, że art. 96 § 1 przyznaje przysposobionemu prawo dziedziczenia. Wiele jest rodzin, które zrzekają się wzięcia dziecka na wychowanie, ponieważ dotychczas dziedziczenie majątku — wobec niemożności adoptacji — jest nie do przeprowadzenia.

Trochę niepokojąco wygląda w projekcie sprawa nazwiska adoptowanego. Art. 96 § 1 brzmi:

„Przez przysposobienie uzyskuje przysposobiony wraz z żoną i małoletnimi dziećmi nazwisko przysposabiającego i prawo dziedziczenia po nim. Nazwisko przysposabiającego dodaje się do nazwiska przysposobionego, jeżeli jest odmienne".

Kto wie, jak bardzo dbają rodzice przybrani o zatarcie śladów pochodzenia dziecka, ten zrozumie, jaką krzywdą dla nich będzie podwójne nazwisko dziecka. Zapewne pp. prawnicy, wprowadzając tę komplikację w życie rodziny, mają jakieś ważne względy na uwadze. Jednak szczęście zaadoptowanego i jego przybranych rodziców nie stoi tu na pierwszym planie.

W roku 1629 powstał w Warszawie przytułek dla sierot i podrzutków przy kościele Św. Benona. W roku 1635 król Władysław IV nadał dzieciom tym przywilej: „Dzieci nieznanych rodziców lub nieprawego łoża, wychowane i wyuczone w tym domu będą uznane za potomstwo prawe i zdolne do wszystkich rzemiosł i urzędów miejskich".

W roku 1938, z górą 300 lat później, sprawa uprawomocnienia dzieci nieślubnych jeszcze nie została załatwiona. Należy oczekiwać w najbliższym czasie uchwalenia bardziej humanitarnych ustaw, regulujących los dziecka nieślubnego. Dla dobra zaś akcji umieszczania dzieci w rodzinach zastępczych nieodzowna jest specjalna ustawa, regulująca sprawę selekcji dzieci i rodziców i zorganizowania racjonalnej kontroli.

Regina Rudzińska.

... dziecko powinno przed innymi otrzymać pomoc w czasie klęski...

Stało się troską serdeczną nie tylko matki, ojca i najbliższych, ale całego społeczeństwa. To nie tylko duma i szczęcie rodziców ale duma, bogactwo i kapitał narodu. Wiek XX — wiek dziecka. Wytężają się wielkie umysły. Pracują intensywnie wszystkie narody, poprostu wre praca rywalizująca na polu właściwej opieki nad dzieckiem.

Wszystko co najlepsze, najmądrzejsze, najładniejsze oddać na usługi dzieci, otoczyć je opieką, miłością, osłaniać, ochraniać, nie pozwolić je skrzywdzić. Nie masz zbyt wielkiego trudu, zbyt wielkiej ofiary, bo przyświeca jasno wytknięty cel: wychowanie człowieka-obywatela, który na te dziś jeszcze nie rozwinięte barki weźmie sczasem brzemię Jutra kraju. To nasza przyszłość. Rosną dzieci, starania i wysiłki ludzi rozumnych, dobrej woli — wielkiego serca wnoszą do skarbnicy narodu wartościowy plon.

I nagle zaterkotały aparaty Morse'a, zadrgały druty telegraficzne, zaczerniły się grubymi czcionkami pierwsze stronice gazet. Wieść hiobowa dociera do najdalszych zakątków: „Zatonięcie statku, część pasażerów uratowana, w liczbie ofiar w większości dzieci". „Podczas olbrzymiego pożaru w mieście X zginęło kilkanaścioro dzieci". „Powódź pociągnęła za sobą śmierć kilkuset ludzi, w większości wypadków są to dzieci". Rozpaczy i bólowi najbliższych towarzyszy głęboki smutek i przygnębienie wszystkich. Tyle pogrzebanych nadziei, tyle sił i mocy poszło na marne. Z wielkiej żałoby, która się kładła cieniem na serca ludzi, z łez wylanych za przedwcześnie zgasłymi dziećmi, z buntu przeciwko losowi zrodziło się prawo, prawo obowiązujące wszystkich wszędzie. „Dziecko powinno przed innymi otrzymać pomoc w czasie klęski".

Prawda ta musi się przerodzić w instynkt w każdym człowieku — w razie niebezpieczeństwa pierwszą myślą musi być: czy to nie grozi żadnemu dziecku?

Społeczeństwa i państwa ujęły to w pewne ramy organizacyjne na poszczególnych odcinkach. A więc wiadomo, że podczas katastrofy na morzu przede wszystkim ratuje się dzieci, z zagrożonych miejscowości podczas wojny ewakuuje się

przede wszystkim dzieci, to samo obowiązuje podczas pożaru, trzęsienia ziemi itd. W obliczu nieprzewidzianych i nieoczekiwanych katastrof — los dzieci spoczywa w ręku poszczególnych obywateli, uzależniony jest od ich zdrowego, normalnego odruchu. Zdrowym, normalnym odruchem jest ratowanie czegoś najdroższego. A przecież rzeczą najdroższą, najbardziej wartościową jest dziecko.

Sprawa pierwszeństwa w udzielaniu pomocy dzieciom w czasie klęski jest rzeczą tak jasną, że nie budzi żadnych wątpliwości ,a tak ważną, że można o niej tylko mówić w prostych słowach: „przede wszystkim pomagamy dziecku". To starczy. Należałoby jedynie zdefiniować i rozszerzyć pojęcie klęski. W roku 1923, w roku uchwalenia Deklaracji Genewskiej kojarzono z wyrazem klęska katastrofy żywiołowe, wojny, epidemie, po tej też linii szły wszelkie instrukcje ratownictwa.

Obecnie w obliczu codziennych wydarzeń dnia powszedniego, stajemy wobec zagadnień, które na odcinku pracy wychowawczej wśród młodego pokolenia w naszym zrozumieniu stają się klęską. Nie są może tak rzucające się w oczy i dlatego nie budzą szerszego oddźwięku i niepokoju, ale występują nagminnie i dzwonią cicho ale ciągle i uporczywie na alarm. Niepokojąco wypadły badania, przeprowadzone na terenie szkół w Warszawie. Okazało się, że tylko niewielki odsetek dzieci nie używa alkoholu. I to sami rodzice wciągają dzieci w ten zgubny nałóg. Klęska pijaństwa ,pociągająca za sobą tyle nieszczęść, grozi dzieciom jeśli nie staniemy zdecydowanie z nią do walki.

Zaraza pornografii, aczkolwiek szerząca się podziemnymi nurtami, działająca z ukrycia, zatacza coraz szersze kręgi, wciągając w nie i dzieci. To niegodziwe paczenie dusz dziecięcych musi być ukrócone.

Zupełny brak odpowiedzialności za swoje czyny przez poszczególne jednostki sprowadza na społeczeństwo ciężkie brzemię, trudne do udźwignięcia. Mówię o ludziach, obarczonych chorobami ,które na skutek praw dziedziczności mogą zaciążyć na całym życiu dziecka. A jednak nie zastanawiają się nad tym, przechodzą nad tym do porządku dziennego, powołując do życia nowe istnienia. Ile wyrządzają tym krzywdy! Dzieci chore, anormalne, upośledzone od samego zarania

życia, mają przed sobą najsmutniejsze horoskopy stania się bezwartościowym, szkodliwym balastem na zdrowym organiźmie narodu. Znowu zagadnienie, które w obliczu konkretnych wypadków przybiera rozmiary klęski.

Klęską też w naszym pojęciu jest objaw, godzący w podstawy naszej moralności, przekreślający wiarę w zasady, w słuszność, niewzruszalność pewnych pojęć, które w nas od dzieciństwa wpajano. Tą klęską, która mierzy bezpośrednio w dzieci, jest rozluźnienie więzów rodzinnych. Pozbawia się dziecka atmosfery domu rodzinnego, która musi byc oparciem w jego dalszym życiu. Opuszczanie, tak niestety częste, przez ojca albo matkę domu i dziecka gwałci jedno z najbardziej uświęconych, apoteozowanych uczuć ludzkich, miłości rodzicielskiej. Pozostawia to głęboką rysę na strukturze psychicznej dziecka. Idą w świat ludzie z bolesnym urazem. Nie wolno też zamykać oczu kiedy życie alarmuje o 57 000 dzieci nieślubnych (to plon ostatniego roku), kiedy policja znajduje na ulicach setki dzieci opuszczonych. Setki bezbronnych małych istot, które się będą wychowywać samotne, bez nikogo bliskiego, bez czułego serca matczynego, bez sprawiedliwej i dającej oparcie ręki ojca. Porzucone jak łachman, jak coś niepotrzebnego.

Dziecko, o którym się mówi, że jest błogosławieństwem i darem Bożym. Społeczeństwo nie zdaje sobie sprawy jak ciemną plamą na tle naszej rzeczywistości jest kwestia dzieci nieślubnych i niewiadomego pochodzenia. To już z góry wytwarzająca się kasta pariasów, która wchodzi w życie z żalem, buntem i mściwością. To jest klęska brzemienna w zło społeczne. Na polu pracy społecznej wkroczyliśmy już w ten okres świadomości, że nie tylko przygotowujemy się do przeciwdziałania w chwili wybuchu nieszczęścia,ale uzbrajamy się i wychodzimy mu naprzeciw, orężni w doświadczenia i w wiedzę. Pozwala nam to osłabić napór nieszczęścia, a częstokroć uchrania nas od niego całkowicie.

Czy to będzie z góry racjonalnie przepracowany w najdrobniejszych szczegółach plan obrony dzieci na terenie wojny gazowej, z zaopatrzeniem każdego dziecka w maskę i przydzieleniem mu miejsca w schronie, czy szczepienia profilaktyczne, którym przymusowo podlegają dzieci, by je uchronić przed klęską epidemii, czy hydroplany, przytwierdzone do

olbrzymich okrętów, by w razie katastrofy zabrać na swój pokład pasażerów, a wśród nich przede wszystkim dzieci, to wszystko jest wyrazem zapobiegania, wyrazem przezorności. Im społeczeństwo jest mądrzejsze, im wyżej stoi, tym jest lepiej przygotowane do walki z ewentualnymi klęskami, które w nie mogą ugodzić.

Rozszerzyliśmy pojęcie klęski — rozszerzyć należy środki zapobiegania. Nie wystarczy sięgnąć do wiedzy i techniki — należy dotrzec do rozumu, serca i sumienia. Uświadamiać, podnosić godność i wartość człowieka, czyniąc go odpowiedzialnym nie tylko za ciasny, własny krąg, ale wiążąc go z całym społeczeństwem. Dzieci to nasza i wasza przyszłość. Klęska dziecka — jest klęską całego narodu.

Ochrona dziecka — stanowi jedno z naczelnych zagadnień stolicy. Niebezpieczeństwa, godzące i czyhające na dzieci w atmosferze wielkiego miasta występują w formie specjalnie jaskrawej.

Spotykają się jednak ze zdecydowaną postawą tych czynników, które mają sobie powierzoną pieczę nad najmłodszymi obywatelami. Wre walka na wszystkich zagrożonych pozycjach i praca zapobiegawcza na tych odcinkach, które są źródłem niepokoju i obawy ze względu na coraz bardziej grożące dzieciom niebezpieczeństwo.

A. S. Gołąb-Grynbergowa.

... dziecko powinno być przygotowane do zarobkowania na życie i zabezpieczone przed wszelkim wyzyskiem...

Zarobkowanie na życie jest zagadnieniem przede wszystkim psychologicznym, a nie czysto materialistycznym, jak się to pozornie wydaje. Dlatego wiąże się ściśle z praktycznym wychowaniem dziecka.

Człowiek zarabia na życie, ponieważ pragnie żyć, a więc pobudką i podstawą zarobkowania są pragnienia, stan uczuciowy, nie zaś czysto spekulatywna czynność intelektu, mająca przeznaczenie wtórne, wykonawcze. Uzdolnienia zarobkowe rozwijają się w zależności od tego, w jaki sposób i w jakim

kierunku nastawione zostały pragnienia jednostki w wieku dziecięcym.

Praktyczne nastawienie pragnień daje umiłowanie pracy, bez którego niemożliwe jest przygotowanie do zarobkowania na życie. Środkiem do nastawiania pragnień jest praktyczne uspołecznienie, które pogłębia zainteresowanie życiem i sprzyja hartowaniu woli.

Bardzo dużą wagę przywiązuje się w ostatnich czasach do czysto fizycznej, mięśniowej sprawności młodzieży. Natomiast kształcenie i hartowanie woli na gruncie wyrabiania społecznego nie jest należycie uwzględniane i badane, a często nawet jest wprost zupełnie lekceważone.

W okresie uczęszczania do szkoły powszechnej wychowanie jest stosunkowo łatwiejsze. Zagadnienie komplikuje się z chwilą, gdy z jednej strony budzą się w dziecku zmysły, zaś z drugiej — dziecko musi odnaleźć w sobie zamiłowanie do zawodu i dokonać jego wyboru. W tym krytycznym okresie należy otoczyć je specjalną opieką i dopomóc w kształtowaniu woli. Możnaby przytoczyć tysiące jaskrawych przykładów, świadczących o tragicznym wprost nieprzygotowaniu dzieci do zarobkowania dlatego, że ich psychologicznie nie wprowadzono w życie w całej jego realnej pełni.

Wielką szkodę czynimy dziecku, gdy nastawiamy skromny zasięg jego uczuć w kierunku abstrakcyjnych, skrajnie idealistycznych lub skrajnie materialistycznych wyobrażeń, czy pojęć. Dziecko z natury pragnie rozwijać się syntetycznie; chciałoby wyczuwać, widzieć i wiedzieć wszystko, lecz w sposób metodyczny, odpowiadający stopniowemu i harmonijnemu rozwojowi jego władz uczuciowych i intelektualnych. Bez przesady można powiedzieć, że dziecko, w prymitywnym zakresie swej pomysłowości, jest konsekwentniejszym ekonomistą, aniżeli niejeden wielki przemysłowiec rozporządzający ogromnymi środkami życia, a mimo to gubiący się w spekulacjach i bezwiednie stwarzający wokoło siebie warunki społeczne, przeciwstawne własnym ekonomicznym aspiracjom.

Niestety jednak przyrodzone ekonomiczne nastawienie dziecka do życia niezawsze jest należycie pojmowane i rozwijane. W wychowywaniu i kształceniu stale popełniany jest zasadniczy błąd, że dzieciom podawane są gotowe zewnętrzne metody poznania lub gotowe środki do życia w mniemaniu,

iż w ten sposób ułatwia się im egzystencję. W rzeczywistości zaś dzieci chowane są sztucznie, gdyż wprowadzane są w warunki życia, z którymi bezpośrednio psychicznie nie są związane i w rezultacie albo stają się bezwolnymi ofiarami ujemnych następstw tych warunków, albo też wyłamują się z nich w sposób rewolucyjny, anarchiczny i schodzą na manowce zupełnego zapoznania swych przyrodzonych praw duchowych.

W dziecku należy rozwijać samorzutną twórczość, wynikającą z celowego wiązania przyczyn z następstwami, pragnień ze środkami nieodzownymi do ich realizacji.

Jak wiele nieskrystalizowanych, a przez to nieziszczalnych pragnień posiadają ludzie dorośli, pragnień, które, miast przyczyniać się do szczęśliwego i zdrowego życia, stają się utrapieniem moralnym i przyczyną przedwczesnej utraty sił fizycznych. Każde pragnienie nieskrystalizowane psychologicznie, to infekcja duchowa, która odbiera człowiekowi wiarę w siebie samego oraz twórczy stosunek do najbliższego otoczenia i w ogóle do życia gromadnego. Odbierają one świeżość duchową, zamiłowanie do systematycznej pracy i zdrową ambicję posiłkowania się nią, jako samorzutną dźwignią bytu. Wchodzi tu z konieczności w grę miłość własna, która przejawia się w postaci ambicji. Tylko, że miłość własna musi być zdrową, tj. naturalnie uspołecznioną, gdyż będąc chorą, rodzi fałszywą ambicję, która zniekształca normalny, twórczy i zarazem wolny stosunek dziecka do społeczności.

Środkiem, który zabezpiecza przed fałszywą miłością własną, jest rozumna pokora wobec praw wiecznych i ich Twórcy — Boga. Jest to sprawa racjonalnego wychowania religijnego.

Dzieci, naśladując starszych, bardzo często wstydzą się zdrowych poczynań społecznych, zaś popisują się wyczynami, których powinny się wstydzić i unikać. I zachodzi coraz większa konieczność rozwijania u dzieci zdrowego instynktu społecznego, aby można było na tym podłożu uświadamiać je społecznie oraz pogłębiać i hartować uczucia i wolę. Próby pogłębiania uczuć i hartu woli, podejmowane przez organizacje skautowskie i im podobne, nie wyczerpują sprawy społecznego wprowadzania dziecka w życie i twórczego usamodzielniania go na tym polu. Należy zająć się opracowaniem specjalnych

programów, obejmujących całokształt przysposobienia społecznego, odpowiedni do poziomu zainteresowań i wiedzy dzieci.

Racjonalna służba społeczna to dziedzina doświadczania współżycia jednostki z otoczeniem i z tej przyczyny rola jej rozszerza się na dziedzinę wiedzy o życiu, pojmowanej coraz głębiej i praktyczniej. Dziecko winno uczyć się praktycznie wyczuwać i społecznie doświadczać, że racjonalny rozwój jego pragnień i woli zależy od racjonalnego współdziałania na rzecz gromady, czyli narodu. Istnieje wiele spraw natury czysto społecznej ,które mogłyby z wielkim pożytkiem dla kultury narodowej wypełniać na różnych odcinkach życia dzieci praktykujące społecznie.

O potrzebie specjalnych programów wychowania społecznego świadczą liczne usterki w metodach wychowania dzieci, zwłaszcza w zakładach opiekuńczych. Zdarzają się fakty, że np. jako karę stosuje się do dziecka nakaz wykonywania pewnej pracy. Tak fałszywie pojęte metody z góry nastawiają dziecko negatywnie do pracy, którą w przyszłości miast miłować, traktuje jako przymus i ciężar.

Jeżeli w okresie szkoły powszechnej dzieci nie otrzymują odpowiedniego przygotowania do przyszłej pracy zarobkowej, to niedomagania te można uzupełnić w okresie między 14 a 15 rokiem życia, który to okres stanowi bolesną dla rodziców i wychowawców lukę, demoralizującą młodzież, a dotąd niewypełnioną w ustroju szkolnictwa. Okres ten należałoby wyzyskać do badań indywidualności i uzdolnień dziecka, a zarazem do urabiania stosunku jego do pracy zarobkowej.

Na terenie Warszawy istnieje 11 poradni zawodowych i pracowni psychotechnicznych, zajmujących się badaniami dla celów poradnictwa zawodowego, szkolnego i wychowawczego. Nadto posiada Warszawa 5 poradni pedologicznych oraz Państwowy Instytut Higieny Psychicznej, Centralę Badań Psychologicznych przy Ministerstwie Sprawiedliwości oraz kilka prywatnych poradni psychologicznych. Działalność tych instytucyj mogłaby się rozwijać głębiej i pożyteczniej na gruncie ściśle określonego programu wychowania społecznego w zakładach wychowawczych, bursach i ogniskach. Badania dzieci, choćby wielokrotne, lecz poza warunkami ich codziennego życia, z konieczności muszą być prowizoryczne i względne i w niewielu stosunkowo razach mogą być trafne.

Już tego typu zakłady opiekuńcze — specjalne, jak Mokotowski Instytut Moralnej Opieki nad Dziećmi, a zwłaszcza niektóre zakłady kształcenia specjalnego umysłowo upośledzonych, w których dzieci stale przebywają pod obserwacją wychowawców-psychologów, dają trafniejsze wyniki badań psychologicznych dlatego, że wychowawcy mają możność systematycznego, równorzędnego badania przyczyn i następstw psychicznych nastawień dusz dziecięcych w określonym systemie ich życia, pracy ,czy rozrywek.



Małoletnia sprzedawczyni słomianek

Na gruncie programowego wychowania społecznego, psychologiczne badania i system wychowania musiałyby się wzajemnie korygować i uzupełniać, dając konkretne wyniki.

W całokształcie zagadnienia pracy młodocianych niemniej ważną obok sprawy należytego przygotowania i zamiłowania do zawodu jest sprawa ochrony przed wyzyskiem. Deklaracja Genewska, która punktami swymi ujęła najważniejsze problemy opieki i ochrony nad dzieckiem specjalnie łączy te dwa zagadnienia w jednym ze swych „przykazań".

Historia uczy nas, że jeszcze na długo przed powstaniem przemysłu, dzieci, jako najtańszą, nieraz zupełnie darmową siłę roboczą, zapędzano do rozmaitych prac, z których większość była ponad ich siły i możliwości fizyczne. Wiek dwudziesty, nazwany „wiekiem dziecka", pod tym względem niewiele różni się od poprzednich. Coprawda w ramach ogólnych przepisów o ochronie pracy istnieją również przepisy regulujące tę sprawę odnośnie młodocianych. Nie wolno przecież zatrudniać w fabrykach młodzieży poniżej lat 15, nie wolno przyjmować młodzieży do prac niebezpiecznych dla życia i zdrowia.

Piętnasty rok życia — to ustawowa granica dzieciństwa. Z chwilą ukończenia tego wieku dziecko staje się dorosłym i ma prawo wkroczyć w szeregi ludzi pracy. Nie trzeba jednak przeprowadzać żadnych specjalnych ankiet, czy badań, żeby przekonać się, że owa granica dzieciństwa jest niesłychanie płynna i elastyczna. Wystarczy odbyć krótką wędrówkę po wsiach, choćby podwarszawskich, żeby ujrzeć paroletnie dzieci, zapędzane na cały dzień do paszenia bydła. Wystarczy zajrzeć do warsztatów chałupniczych, gdzie dzieci pospołu z dorosłymi ślęczą przy pracy w ciągu kilkunastu godzin dziennie w ciasnocie, brudzie, szkodliwych wyziewach. Wystarczy zapoznać się z życiem przeciętnych rodzin robotniczych, gdzie starsze dzieci niemal z reguły stają się opiekunami młodszego rodzeństwa i zastępują często matki, gotując, piorąc, sprzątając.

Ten anormalny stan rzeczy winien być zwalczany nie od strony ustawodawczej (chociaż wydanie ustawy o ochronie pracy chałupników, ze specjalnym uwzględnieniem zatrudnianych małoletnich, jest nakazem dla naszej polityki społecznej),

lecz od strony człowieczeństwa. Nie wolno obciążać dzieci pracą ponad ich siły.

Luka pomiędzy 14 a 15 rokiem życia dziecka, tj. pomiędzy ukończeniem szkoły, a przepisowym okresem rozpoczęcia pracy, przyczynia się w poważnym stopniu do tego, że zagadnienie pracy nieletnich nie jest dotychczas rozwiązane. Luka ta musi być albo usunięta, albo w ogóle winna zaniknąć (przesunięcie granicy wieku ukończenia szkoły powszechnej).

Skoro przykłada się coraz więcej uwagi do spraw przygotowania młodzieży do zawodu, nie mniejszy nacisk winno się położyć na usunięcie z naszego życia społecznego niedopuszczalnej anomalii, jaką jest wyzysk dzieci w pracy. Trzeba dołożyć wszelkich starań i wysiłków, ażeby dzieciom dać możność radosnego wykorzystania należnego im dzieciństwa.

Szczere i wolne uczucie radości, przejawiające się w duszy dziecka, to oś duchowa busoli życia, według której kształtuje się światopogląd dziecka oraz cała jego struktura psychofizyczna. Dlatego dziecko musi mieć zabezpieczone prawo do wolnego i radosnego dzieciństwa.

Lucjan Freytag.

... dziecko winno być wychowywane w wierze, że jego najlepsze cechy winny być oddane na usługi współbraci...

„Życie o tyle tylko ma wartość,
o ile jest dla drugich pożyteczne".

L. Pasteur.

Ciężar wychowania dziecka — a więc także wychowania go w kierunku uspołecznienia — spoczywa przede wszystkim na rodzinie. Pracę domu uzupełniają instytucje wychowawcze, pod wpływem których pozostaje dziecko przez szereg lat. Są to: przedszkole, szkoła powszechna, organizacje młodzieżowe oraz kolonie i półkolonie letnie. W wypadku, kiedy dziecko pozbawione jest rodziny, zastępują ją w pracy wychowawczej zakłady dla dzieci i rodziny zastępcze. Nie bez wpływu na kształtowanie się stosunku dziecka do społeczeństwa pozo-

staje samo społeczeństwo: atmosfera, jaką wytwarza i prawa, jakie wydaje.

Omówimy tu kolejno rolę wymienionych czynników w realizowaniu 5 punktu Deklaracji Genewskiej.

Rodzina.

Jedynak. Od chwili urodzenia jedyny przedmiot trosk, niepokoju, nadziei, zachwytów całego domu. Przyzwyczajony do usług, do otrzymywania, do zaspakajania wszystkich swoich zachcianek. Wzrasta w przekonaniu, że stanowi centrum zainteresowań otoczenia. Nie nauczony w domu ustępować, pomagać, liczyć się z potrzebami innych, dawać coś z siebie— wiele prężności we własnej psychice i wielu dobrych wpływów pozarodzinnych będzie potrzebował, aby dojść do przekonania, że to, co ma najlejszego oddać winien na usługi współbraci.

Rodzina, której naczelnym ideałem życiowym jest: zarobić — bez względu na to, czy w grę wchodzi zapracowanie na suchy chleb, czy na ośmiocylindrowe auto — rodzina, w której pojęcie pracy jako przyjemności, pracy jako obowiązku społecznego, pracy jako posłannictwa nie istnieje zupełnie, rodzina, której stosunek do społeczeństwa polega na staraniu się o wyciągnięcie dla siebie jak największych korzyści, a „współbraci" traktuje się jako niepożądanych współzawodników w walce o byt — taka rodzina nie jest przeznaczona do wpojenia w dziecko wiary, że współbraciom swoim powinno służyć.

Wybór zawodu przez dziecko — a raczej dla dziecka przez rodziców — jest w takim domu dokonywany jedynie ze względu na możliwości zarobkowe w danym zawodzie, z pominięciem zamiłowań i uzdolnień dziecka.

Dziecko bezrobotnego, które widzi, że ojciec jego, zamiast budować dom, grać w restauracji na skrzypcach, wydmuchiwać butelki w hucie, czy kopać węgiel w kopalni — spędza czas bezczynnie i zdolności swoich nie jest w stanie oddać na

usługi społeczeństwa; dziecko, które widzi, jak jego matka, uzdolniona do prowadzenia domu i wychowywania dzieci — zdolności swoje musi zaprzepaścić, aby nielegalnym handlem ulicznym zapracować na życie rodziny, dziecko, które widzi, jak i tę zdolność matki do utrzymania rodziny zabija ustawa, widzi jak policjant goni matkę, szarpie, aresztuje, konfiskuje jej towar — takie dziecko nie nabierze w domu przeświadczenia, że społeczeństwu potrzebne są jego siły, zdolności i praca.

Zło potęguje się jeszcze w wypadku zamieszkiwania przez rodzinę osiedla dla bezrobotnych. Bo skoro jeszcze, mieszkając w zwykłej kamienicy, mogło mieć dziecko przekonanie, że sytuacja jego rodziców jest wyjątkowa — baraki uniemożliwiają to przekonanie. Niczyje zdolności i najlepsze cechy — jak daleko sięgają znajomości i doświadczenie dziecka — nie znajdują zastosowania w społeczeństwie, choćby mu były nie wiedzieć jak usilnie przez ich posiadacza ofiarowywane.

Rodzice występni, rodzice, którzy w zaspakajaniu swoich potrzeb nie liczą się z interesem innych: złodzieje, fałszerze, bandyci, właściciele domów schadzek itp. — tacy rodzice raczej nie potrafią wzbudzić w dziecku przekonania, że obowiązkiem jego — oddać na usługi społeczeństwa swoje najlepsze cechy.

Rodzina, złożona z rodziców i kilkorga dzieci — gdzie dziecko wzrasta w zdrowej atmosferze i w cieple uczuć rodziców, gdzie widzi zamiłowanie rodziców do spełnianej przez nich pracy i przekonanie ich o wartości tej pracy, gdzie dziecko uczy się pomagać matce w zajęciach domowych, opiekować się młodszym rodzeństwem, gdzie się uczy liczyć z potrzebami innych, sprawiać innym przyjemności w miarę własnych możności i sił, gdzie dziecko widzi w drobnych zdarzeniach codziennego życia: w domu, u znajomych, na ulicy, w tramwaju, w sklepie — że rodzice są ludziom życzliwi i chętni do niesienia pomocy — tylko taka rodzina może wychować w dziecku wiarę, że jego najlepsze cechy winny być oddane na usługi współbraci.

Instytucje uzupełniające wychowanie rodzinne.

Jednym z naczelnych zadań wychowania w *przedszkolu* jest uspołecznienie dziecka.

Sam fakt współżycia przez kilka godzin w ciągu dnia pewnej grupy dzieci ma już dla realizacji tego zadania wielkie znaczenie — zwłaszcza, kiedy chodzi o jedynaków lub dzieci znacznie różniące się wiekiem od rodzeństwa.

Przez organizowanie zbiorowych prac dzieci — zużytkowane zostają dla wspólnego dobra zamiłowania i zdolności poszczególnych jednostek: jedno lepi, drugie rysuje, trzecie skleja — dla wszystkich.

Racjonalny podział dyżurów pozwala każdemu dziecku dać na usługi innych to, co najlepiej potrafi: dziecko o nastawieniu opiekuńczym pomaga młodszym ubierać się, dziecko, które lubi zwierzęta — karmi rybki, ruchliwe — rozdaje tzw. pomoce kolegom, ostrożne — roznosi zupę.

Jasne jest, że świadomej woli d a w a n i a nie może przedszkole rozwinąć.

Do wychowania jednostki uspołecznionej mniej wartości wnosi *szkoła*.

Decyduje o tym w głównej mierze metoda nauczania. Dziś jeszcze każde dziecko w szkole uczy się indywidualnie — choć w towarzystwie kilkudziesięciu innych. Współpraca — możliwa niemal wyłącznie w postaci niemoralnej: podpowiadanie i posyłanie ściągaczek — słusznie tępione jest przez nauczycieli. Wyjątek stanowią zajęcia praktyczne, na których niekiedy uczniowie wykonywują wspólną pracę oraz gry zespołowe na godzinach gimnastyki, gdzie zręczność dziecka idzie na usługi grupy-partii, do której należy.

Program języka polskiego i historii — nie metoda tych przedmiotów — przewiduje wzbudzenie w dziecku chęci oddania swoich sił społeczeństwu.

Tyle program nauk i metoda. Opracowanego programu i metod wychowawczych szkoła powszechna nie posiada. Pod tym względem dzieci całkowicie niemal zależne są od nauczyciela.

Oczywiście w szkole — jak i w przedszkolu — fakt przebywania większej ilości dzieci na jednym terenie musi oddziałać na umiejętność współżycia ich między sobą. Tę umiejętność współżycia ogranicza jednak szkoła przede wszystkim do umiejętności negatywnych: uczy nie krzywdzić innych przez bicie, demoralizowanie, okradanie, przeszkadzanie w lekcjach itd. Nie bez znaczenia jest tu fakt, że krzywdzenie jednych dzieci przez drugie przeszkadza w pracy nauczycielowi (hałas na lekcji, krzyki na pauzie, skargi).

Na wydobywanie z dziecka maximum jego wartości dla dobra innych — prawie nie ma miejsca w szkole.

I temu winien w dużej mierze system nauczania, który od wszystkich żąda tyle samo — i więcej nie potrzebuje.

Umiejętne organizowanie imprez i uroczystości szkolnych a także wycieczek może w drobnej części temu złu zaradzić.

Lukę w oficjalnym wychowaniu szkolnym starają się uzupełnić bądź *organizacje* szkolne czy klasowe, prowadzone z dobrej woli przez nauczycieli (samopomoc w zakresie materialnym lub naukowa, spółdzielnia szkolna ,samorząd itp.), bądź organizacje pozaszkolne, pracujące na terenie szkoły, jak Czerwony Krzyż i Harcerstwo.

Tam to uczą się dzieci nie tylko nie krzywdzić innych — ale innym pomagać i dla innych pracować w miarę swoich możliwości. Dziecko, które dobrze śpiewa i takie, które ładnie rysuje, i takie, które zna dobrze arytmetykę i potrafi jej nauczyć i to, które lubi „handlować“ ,i to, które lubi „opiekować się chorymi“ — i szereg innych dzieci — znajdą możność oddania na usługi kolegów swoich zamiłowań i uzdolnień.

Kolonie i półkolonie letnie mogłyby spełnić wielką rolę w społecznym przygotowaniu dziecka. Mogłyby — gdyby zamiast traktować dziecko jako jednostkę, której trzeba dać: przejazd, jedzenie, pościel, świeże powietrze, wodę do mycia, dozór wychowawczy itd. — traktowały je jako współpracow-

nika kolonii, współtwórcę życia kolonijnego, który jest odpowiedzialny za jeden z działów pracy dla wszystkich. Każde dziecko — zwłaszcza dziecko starsze — wiedziałoby wówczas, że najlepsze jego cechy: zamiłowanie do czystości, czy zainteresowania gospodarcze, zamiłowanie do pracy z małymi dziećmi, czy też umiejętność organizowania gier, tańczenia, rysowania, opowiadania bajek — tysiączne mogą być „talenty“ dzieci — nie mogą być „chowane pod korcem“. a muszą zostać oddane na usługi innych.

Instytucje zastępujące rodzinę.

Zakłady wychowawcze mimo pozornie doskonałych warunków — na ogół nie spełniają swego zadania w omawianej obecnie dziedzinie. Krytyka szkoły (rozwijanie raczej negatywnych niż pozytywnych umiejętności współżycia), a jeszcze bardziej krytyka kolonii — mogą tu zostać dosłownie powtórzone.

Największym złem zakładów — przy ich obecnym poziomie — jest wytworzenie w wychowanku biernej, a nawet pasożytniczej postawy wobec życia. Dziecko umie tylko brać i oczekiwać, a nawet żądać. Obce mu jest pojęcie dawania. Jeżeli wie, że posiada jakieś dobre cechy — użyje je na przypodobanie się wychowawcy. W przyszłości zamierza je wyzyskać dla znalezienia sobie możliwie dobrego miejsca w życiu. Rzadko któremu wychowankowi zakładu przyświeca idea służenia społeczeństwu.

Dobra *rodzina zastępcza* bez wątpienia jest lepsza od przeciętnego zakładu. Zdanie to jednak nie dla wszystkich dzieci jest prawdziwe. Rola i możliwości rodziny zastępczej w zakresie przygotowania dziecka do życia w społeczeństwie — analogiczna do roli własnej rodziny dziecka.

Społeczeństwo.

Dopóki najszerszy ogół społeczeństwa sam nie będzie hołdował zasadzie, wyrażonej przez wielkiego Pasteura słowami:

„życie o tyle tylko ma wartość, o ile jest dla drugich pożyteczne“ — dopóty społeczeństwo nie będzie umiało spełnić swojej roli wychowawczej w odniesieniu do dziecka.

Dziecko słyszy znajomych rodziców, kiedy narzekają na ciężkie czasy: bo pieniędzy mało a pracy dużo, narzekają na pracę, że ciężka i nudna, marzą głośno o emeryturze — okresie w którym będą mogli nic nie robić, wynagradzani za to przez społeczeństwo. Ani jednej rozmowy o pięknie pracy!

Dziecko czyta dzienniki i na powieściach gazetowych umacnia się jego przekonanie, że najwyższym dobrem — pieniądz i „powodzenie“ przy braku wysiłku. Zamiast dowiedzieć się z pisma o wielkich i dobrych czynach, o twórczych ludziach — dowiaduje się o mordercach. I o tym się dowiaduje, że ten, kto coś nowego i dobrego próbuje robić — błądzi, grzeszy, prowokuje, myli się. Błędy jego ustokrotnione, wartości pomijane. Nie budzi to wszystko w dziecku chęci czynu, potrzeby służenia innym.

Podobnie ma się rzecz z filmami.

Szkoła, organizacje, przypuśćmy, że i dom, wpajają w dziecko przeświadczenie, że zdolnościami swymi służyć powinno innym. Ale tym wysiłkom wychowawczym przeciwstawia się własne rozumowanie dziecka — przecież dziś każde wie o bezrobociu.

Społeczeństwo, które tego zasadniczego zagadnienia nie potrafiło uregulować — musi sobie zdawać sprawę, jak niepełny jest jego wkład w społeczne wychowanie dziecka.

Najbardziej uspołecznione dziecko, które szkołę powszechną ukończy w 14 roku życia, a wyżej kształcić się z powodów materialnych nie będzie mogło — narażone jest na utratę całej wiary w potrzebę oddania swych najlepszych cech na usługi współbraci.

Bo współbracia skazują je na bezczynność.

Ustawa o „roku przymusowej bezczynności“ świadczy, że społeczeństwo, które ją wydało, nie zdaje sobie sprawy z odpowiedzialności, jaka na nim ciąży w zakresie przygotowania dziecka do służby społecznej, określonego przez Deklarację Genewską.

Irena Chmieleńska.

Dzieci i młodociani Stolicy.

Nie każdemu może wiadomo, że dzieci i młodociani Stolicy stanowią przeszło czwartą część ogółu mieszkańców Warszawy. Tak jednak jest: w r. 1937 mieliśmy ogółem 341.600 dzieci i młodocianych, skupionych w 18 rocznikach.

Szczegółowy przegląd tych roczników pozwala ułożyć je w 4 następujące grupy:

Grupy roczników	Roczniki	Liczby dzieci	
		absolutne	w odsetkach
Najmłodsze . . .	1937—1935	50 200	14.7
Wiek przedszkolny .	1934—1931	69 666	20.4
Wiek szkolny . . .	1930—1924	141 961	41.5
Młodociani	1923—1920	79 773	23.4
	Razem	341 600	100.0

Grupy te rozpadają się pod względem wyznaniowym na dwa duże odłamy: a) chrześcijan, których ogółem jest około 67%, oraz b) wyznania mojżeszowego, które stanowi około 33% ogólnej ilości dzieci i młodocianych.

*

Ciekawe byłoby dokładnie wiedzieć, jakie jest rozmieszczenie tego ogromnego kontyngentu dzieci i młodzieży w różnych dzielnicach Warszawy. Niestety rozporządzamy pod tym względem ścisłymi danymi tylko dla roczników szkolnych. Zważywszy jednak, że ta kategoria skupia największe ilości dzieci i że poszczególne roczniki nie różnią się zbytnio od siebie ani liczebnością ani przynależnością środowiskową, można przyjąć, iż rozmieszczenie roczników szkolnych będzie odzwierciedleniem rozmieszczenia wszystkich dzieci i młodzieży.

Z powyższym zastrzeżeniem można stwierdzić co następuje:

1) W strefie o największej gęstości zaludnienia, zajmującej obszar rozciągający się w północno-zachodniej części śródmieścia Warszawy i zajmujący około 4,1% powierzchni miasta — mieszka około 39% ogólnej liczby dzieci i młodzieży.

2) W strefie drugiej, do której można zaliczyć część śródmieścia Warszawy i śródmieścia Pragi, stanowiącej ogółem 5,9% powierzchni Stolicy — skupia się około 18% ogółu dzieci i młodzieży.

3) W strefie trzeciej (wschodnia część śródmieścia Warszawy, centrum Mokotowa, Wola, Żoliborz, Pelcowizna, Nowe Brudno, Targówek, Kamionek i część Grochowa), obejmującej 36,1% powierzchni Warszawy — znajduje się około 37% wszystkich dzieci i młodocianych, wreszcie

4) w strefie czwartej (szeroki pas południowej części miasta, znaczna część Pragi, peryferie Żoliborza), stanowiącej 53,9% powierzchni Stolicy — zamieszkuje około 6% ogólnego kontyngentu.

Jak z powyższego widać, rozmieszczenie dzieci i młodocianych (podobnie, oczywiście, jak i dorosłych) jest w Stolicy wysoce nierównomierne, wynosi bowiem na 10% ogólnej powierzchni miasta (strefa pierwsza i druga) — blisko 57% ogólnego kontyngentu, na 36,1% powierzchni — nieco więcej ponad trzecią część dzieci i młodocianych, a na 53,9% powierzchni — zaledwie około 6% ogólnego kontyngentu.

*

Co się tyczy socjalnej charakterystyki omawianego kontyngentu dzieci i młodocianych, to upraszczając sobie ich klasyfikację wg podziału na 3 kategorie w zależności od majątkowej sytuacji rodziców (opiekunów) — można stwierdzić, że na ogólną liczbę 341.600 jednostek do rodzin zamożnych należy około 76.000 (ponad 20%), do rodzin samowystarczalnych — 195.000 dzieci i młodocianych (ca 60%), wreszcie do rodzin, którym trzeba byłoby dopomagać w utrzymaniu i wychowaniu dzieci i młodzieży — około 70.000 jednostek (ca 20%).

Ilustruje to następujące szczegółowe zestawienie:

Kategorie roczników	Ogółem	W tym dzieci i młodocianych z rodzin		
		zamożnych	samowystarczalnych	potrzebujących pomocy
Najmłodsze	50 200	10 200	28 000	12 000
Wiek przedszkolny . .	69 666	13 666	39 000	17 000
Wiek szkolny . . .	141 961	26 961	80 000	35 000
Młodocianych	79 773	25 773	48 000	6 000
Razem . .	341 600	76 600	195 000	70 000
	100%	22,4%	57,1%	20,5%

Ważnym jest zorientowanie się, jaka jest sytuacja oświatowa, omawianego kontyngentu roczników. Oczywiście, można mówić tylko o rocznikach szkolnych i młodocianych. Otóż okazuje się, że mimo istnienia obowiązku szkolnego, który wymaga, aby każde dziecko w wieku 7—14 lat pobierało naukę w zakresie elementarnym — istnieje spora grupa dzieci, o których statystyki szkolne nic nie mówią; wiadomo tylko, że tych dzieci nie ma ani w prywatnych, ani w publicznych szkołach powszechnych, ani tymbardziej w szkołach średnich. Liczba takich dzieci dochodzi do 2% ogółu dzieci w wieku szkolnym. Co robią te dzieci? Dlaczego nie trafiają do szkoły? I co zrobić, żeby trafiły? — oto pytania, które musi zadawać sobie działacz kulturalny.

Do pełnego naświetlenia sprawy realizacji powszechnego nauczania w Stolicy należałoby dodać jeszcze zagadnienie opóźnionej w nauce młodzieży (liczba jej dochodzi do 7.000 jednostek) i zagadnienie dzieci szkolnych, wymagających specjalnej troski (niedorozwiniętych, trudnych do prowadzenia, głuchoniemych). Wówczas okazałoby się, że wiele jeszcze mamy niedomagań i wiele trzeba będzie jeszcze wysiłków, aby sprawa oświaty powszechnej w Stolicy stanęła na tym poziomie, o jakim mówią ustawy.

W dziedzinie kształcenia młodocianych zaległości są jeszcze znaczniejsze. Jeżeli od liczby ogólnej młodocianych odjąć młodzież, która z powodu opóźnienia nauki tkwi jeszcze w szkołach powszechnych (ca 7.000) oraz młodzież, uczącą się w szkołach średnich (ca 15.000), wreszcie młodocianych, pobierają-

cych naukę w miejskich szkołach wieczorowych powszechnych i dokształcających zawodowych (ca 13.000), to okaże się, że otrzymamy różnicę, przypadającą na nieuczęszczających w wysokości prawie 60% ogólnego kontyngentu młodocianych. Jaka jest „dola i niedola“ tej młodzieży, dosięgającej blisko 45.000 jednostek?

Tej młodzieży — obowiązek dokształcania zawodowego nie dosięga. Dlaczego? Czy ona nie pracuje, a przynajmniej czy wszystka nie pracuje? Z pewnością jest inaczej; znaczna część tej młodzieży pozostaje gdzieś w warsztatach, lecz jakie ma tam warunki pracy i możliwości kształcenia się i dalszego rozwoju fizycznego i duchowego — nie wiadomo.

Łatwo z góry przewidzieć, że na tle powyższych liczb, dotyczących starszych roczników, sytuacja roczników najmłodszych i przedszkolaków nie może przedstawiać się korzystnie. Istotnie, zebrane liczby odnośnie najmłodszych wskazywałyby, że na ca 12.000 dzieci w wieku od 1 do 3 lat, należących do rodzin, potrzebujących pomocy w utrzymaniu, zwłaszcza wychowaniu dzieci — tylko około 2.500 — 3.000 dzieci korzysta z urządzeń specjalnych (żłobki, internaty); reszta tj. $^3/_4$ ogólnej liczby dzieci pozostaje w domu. Mniej więcej tak samo wygląda sprawa przedszkolaków: z ich ogólnej liczby (ca 17.000), którą należałoby zaopiekować się we właściwy sposób, tylko niespełna 7.000 (wedle zebranych danych) korzysta z przedszkoli (przede wszystkim miejskich); pozostałe dzieci w liczbie około 10.000 znowu pozostają w rodzinie.

Jakież są tego skutki? Te przede wszystkim, że dzieci, pozostające w obrębie rodzin, są niemal całkowicie odsunięte od możności korzystania z zorganizowanych form pomocy społecznej (jak np. z dożywiania). O ich zdrowotnych warunkach bytu — dużo by również trzeba było mówić.

Zaznaczyliśmy wyżej, że na 341.600 dzieci i młodocianych około 70.000 jednostek oczekuje w różnych formach pomocy i opieki społecznej. Jak się przedstawia sprawa tej pomocy? W jakich rozmiarach i w jakich formach przejawia się ona na terenie Stolicy?

Trzeba podkreślić wyraźnie, że zasięg tej pomocy w jej podstawowej formie — dożywiania był w ostatnich czasach bardzo znaczny.

Niestety dożywianie było w wielu wypadkach niemal jedyną formą pomocy np. dla młodocianych (jeśli nie liczyć pewnego udziału młodocianych w świetlicach). Najlepszej jeszcze stosunkowo opieki doznawały dzieci najmniejsze i przedszkolaki (korzystały one bowiem ze żłobków, przedszkoli) oraz dzieci szkolne, którym okazywano częściowo pomoc w obuwiu i odzieży, możności korzystania ze świetlic (było w nich ca 9.000 dzieci) oraz — w dostarczaniu ulgowego, a nawet bezpłatnego pobytu na koloniach i półkoloniach.

*

Tak się przedstawiają w ogólnych zarysach dane liczbowe, dotyczące poruszonego tematu.

Jakkolwiek niezupełne, nasuwają one — jak czytelnik mógł stwierdzić — szereg różnych refleksyj, a nawet wniosków.

Przede wszystkim trzeba stwierdzić, że same dane pozostawiają wiele do życzenia: powinny być bardziej szczegółowe, powinny zilustrować cały szereg zagadnień, z którymi pracownik społeczny styka się ciągle w Warszawie.

Niestety, poziom i zasięg statystyki zagadnień społecznych w Stolicy nawet w najważniejszych dziedzinach, jest jeszcze bardzo niedostateczny. Należałoby zatym corychlej stan ten poprawić, a przede wszystkim zwrócić uwagę na zagadnie młodocianych, jako najmniej zbadane i najbardziej chyba dotychczas zaniedbane.

Stanisław Tazbir.

DO CZYTELNIKÓW „OPIEKUNA SPOŁECZNEGO".

Program I Ogólnopolskiego Kongresu Dziecka przewiduje rozpatrzenie szeregu najbardziej aktualnych w Polsce zagadnień, dotyczących doli i niedoli dziecka.

Uczestnicy Kongresu wysuną niewątpliwie zasadnicze hasła do zrealizowania w naszym społeczeństwie, a mające na celu poprawę bytu polskiego dziecka.

Ponieważ I Kongres ma dać początek następnym, które będą poświęcane poszczególnym ważnym zagadnieniom, znajdzie się napewno w programie jednego z najbliższych sprawa Konstytucji Polskiego Dziecka ,która domaga się bezwzględnego sprecyzowania.

Aby utrzymać ciągłość zainteresowania i wykorzystać na opracowanie zagadnienia okres dzielący nas od następnego Kongresu, Redakcja „Opiekuna Społecznego" już teraz podejmuje zbieranie materiałów i opinii działaczy społecznych.

W związku z tym Redakcja ogłasza ankietę na temat:

JAKĄ PROPONUJĘ TREŚĆ KONSTYTUCJI POLSKIEGO DZIECKA?

Zebrane materiały będą przepracowane i przedstawione miarodajnym czynnikom oraz organizatorom następnego Kongresu Dziecka.

Redakcja prosi o nadsyłanie odpowiedzi na ankietę p-adr.

Warszawa, ul. Złota Nr 74, pok. 25.

Wydawca: Zarząd Miejski w m. st. Warszawie
Redaktor: Tytus Czaki.

Przy redagowaniu niniejszego numeru brała udział
Mgr MARIA ŁESZEŻANKA.

Redakcja i Administracja ul. Złota Nr 74, tel. 6-98-29
Wydział Opieki Społecznej i Zdrowia Publicznego

Prenumerata roczna 4 zł. Cena pojedyńczego egzemplarza 40 gr
Prenumeratę wpłacać należy na P. K. O. Nr 7000.
Zarząd Miejski w m. st. Warszawie, Wydział Finansowy
Administracja „Opiekuna Społecznego".

Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

1394. Drukarnia Miejska, Warszawa, ul. Miodowa 23, tel. 11-04-10.

ZWIEDZAJCIE WYSTAWY!

WYSTAWA

„WARSZAWA WCZORAJ, DZIŚ i JUTRO"

otwarta w październiku, listopadzie, grudniu r. b.

w dni powszednie prócz poniedziałków
w godz. 9 — 14 i 17 — 21

w niedziele i święta w godz. 9—15 i 16—21

w gmachu Muzeum Narodowego Al. 3-go Maja 13.

Na wystawie tej w salach wystaw czasowych na parterze mieści się

DZIAŁ OPIEKI SPOŁECZNEJ i ZDROWOTNEJ

W S T Ę P B E Z P Ł A T N Y

WYSTAWA

„DZIECKO w POLSCE"

otwarta od dn. 2 — 31 października r. b.
w gmachu przy ul. Nowogrodzkiej 74/76
w godz. 9—21.

W S T Ę P 45 G R O S Z Y

Dojazd tramwajami linią: 6, 7, Z, 24, W.